



# ODGŁOSY

PO LIPCOWYM ŚWIĘCIE — Jerzy Wawrzak ► LEON KRUCZKOWSKI — Ziemowit Miedziński ► ROSŁA W SIŁĘ — Stefan Fijałkowski ► ZBRODNIARZE NAD MAPĄ EUROPY — z cyklu: „Od pochodu na wschód — do ucieczki na zachód” ► FESTYN W KOCHWALDE — Lucjusz Włodkowski ► NOC NAD NEWĄ — Edward Szuster ► WINDĄ PONAD MIASTO — Jacek Indelak ► PRZEBUDZENIE — Ewa Ostrowska ► BĘDZIESZ ZAWSZE PAMIĘTAĆ — Krystyna Majda ► ŚWIATOWY REKORD MIASTA VALLE — Jerzy Czech ► GLOBTROTTER ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► RECENZJE ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► POLEMIKI

RYSZARD BINKOWSKI

## TRUDNE ŻNIWA

Telefony, listy i telegramy błagalne do TV z prośbami, groźbami, żdaniami rychłej zmiany pogody, poparte opisami sytuacji, jakie stwarza ten wybitnie chłodny lipiec, jakby poskutkowało, bo w dniach 11–13 bm. zaczęło nas trochę pocieszać; i synoptycy i mapy pogody zapowiadały pewną poprawę, tzn. że miała się skończyć deszczowa passa i nieustanna wędrówka zatorów niżowych z frontami ciepłymi i chłodnymi, gdzie leje najwięcej.

I rzeczywiście, były trzy dni znośne, jeden nawet bardzo słoneczny i upalny, ale już 18 lipca, kiedy wyjechałem na przedłużony rekonesans po województwie, kapuśniaczek śląski z nawisłego, ołowianego nieba, a krajobraz nabrał koloru zgoła jesiennego.

Nie dotarłem do powiatów północnych, gdyż tam żniwa zaczynają się o tydzień, a nawet dwa tygodnie później, ale już pierwsze spojrzenie na powiaty centralne i południowe pozwala stwierdzić, że wieś są ciche, pustkie, jak w czasie żniw, lecz traw nie ma. Wszędzie trwa stan przygotowania i napiętego oczekiwania.

W pow. Rawa Mazowiecka przygotowano komplet maszyn żniwowych do prac w polu gotowych jest 448 ciągników. Nie wszędzie jednak maszyny będą mogły być wykorzystane, a 50 tys. ha obsianych zbożami, roślinami oleistymi i pastewnymi zaledwie połowa arealu zostanie sprzątnięta dzięki zabiegom mechanizacyjnym.

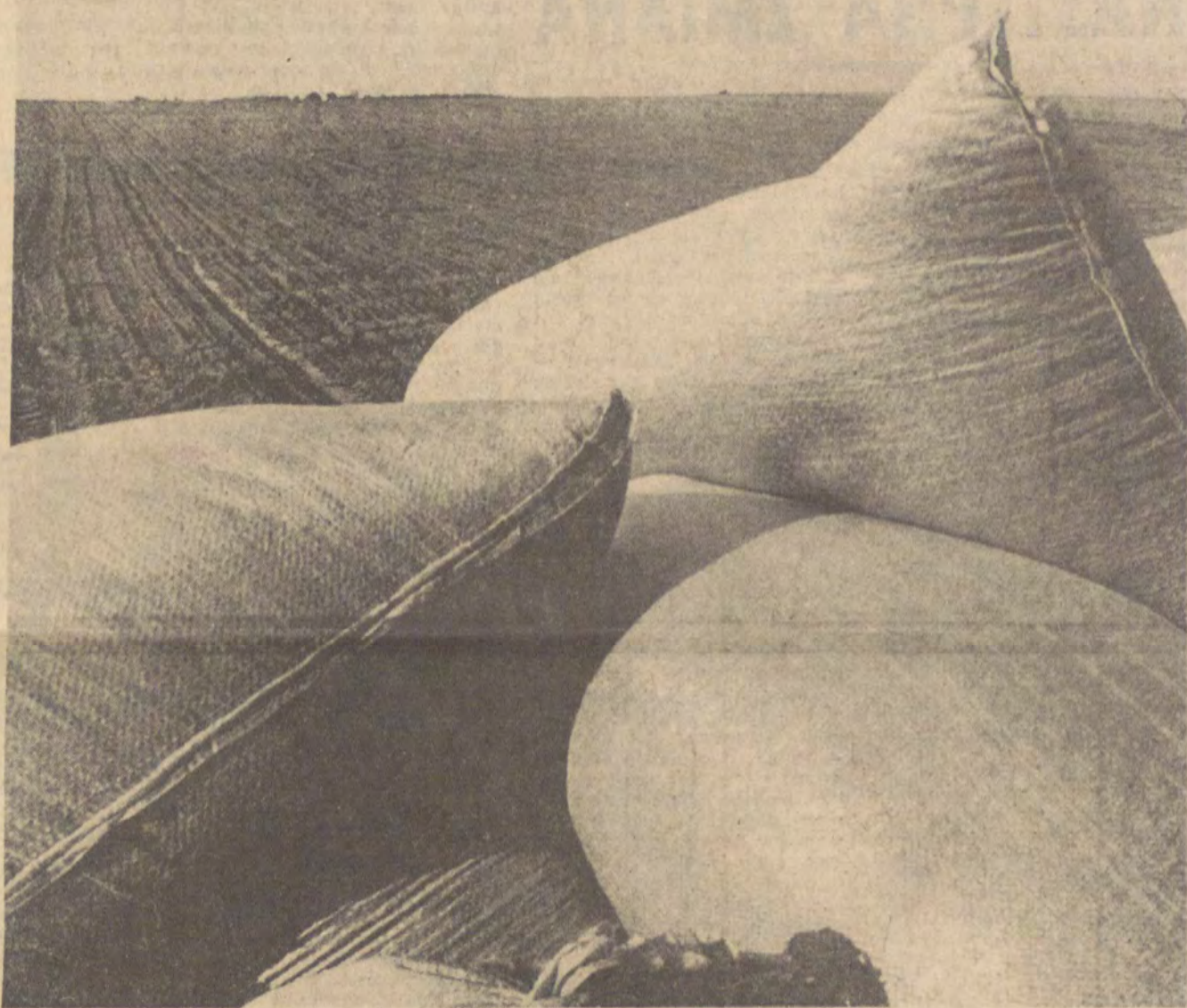
W akcji żniwnej, podobnie jak dotychczas, aktywny udział wezmą członkowie Kół ZSMW. Ich zadaniem jest niesienie pomocy osobom w podeszłym wieku, wdowom i ludziom choreym. Terenowe Kół ZSMW ustaliły już listy najbardziej potrzebujących, którym pomoc jest nieodzownie potrzebna i musi

być w krótkim czasie udzielona. W niektórych miejscowościach, położonych w pobliżu ośrodków wezrasowych, pracować będą uczestnicy obozów harcerskich, kolonii i placówek niebezpiecznej akcji letniej.

Naczelnik gminy Dłutów, w pow. łaskim, Ignacy Klimek i kierownik służby rolniczej, Ryszard Śnieg, poinformowali mnie, że u nich na słabych glebach żniwa zaczęły się już około 10 lipca. Wszyscy na ten właśnie okres byli przygotowani, sprawę sprzętu zapięto na ostatni guzik, jest go więcej niż w roku ubiegłym, zgromadzono odpowiednią ilość części zamiennych, płocen do wiązałek, przeszkolono personel, a nad całością czuwa instruktor do spraw mechanizacji. GS uzgadnia z poszczególnymi wsiami godziny pracy sklepów, magazynuje zapas konserw, z napojami też nie ma kłopotów, gdyż GS posiada własną rozlewnię.

Aby uniknąć niepotrzebnych spięć, wywieszono do publicznej wiadomości listy ustalające kolejność wykonywania usług przez kółka rolnicze u gospodarzy indywidualnych. Pierwsi na tych listach znajdują się ludzie starsi.

Dalszy ciąg na str. 6



ERICH MARIA REMARQUE

LEKTURA NA WAKACJE

## CIE NIE W RAJU

Czytaj na str. 4

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## FESTYN W KÓCHWALDE

(KORESPONDENCJA z NRD)

Właściwie to już historia i można byłoby do niej nie wracać, ale są przecież w przeszłości wydarzenia, do których powraca się ze szczególnym upodobaniem. Tak jest i z sobotą, 6 lipca 1974 roku, którą spędzałem w NRD. Sobota jest tam — jak wiadomo — dniem wolnym od pracy. Do południa ludzie chodzą po sklepach, później obiad i albo wyjazd za miasto, albo spacer, rozrywki, kino, teatr czy zabawa w którejs z licznych restauracji.

Szliśmy w to sobotnie popołudnie, 6 lipca 1974 roku, pustymi ulicami Karl-Marx-Stadt z Andrzejem Gieldowskim z Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego do redakcji „Freie Presse”. Tuż przed wejściem dołączyl do nas Sergiusz Klaczek — redaktor naczelny „Głosu Robotniczego”. Po chwili przybyli dziennikarze węgierscy. Gospodarze już czekali. Włączono kolorowy telewizor, podano piwo. Kiedy Grzegorz Lato strzelił zwycięską bramkę, podano koniak. Ale poczekaliśmy z wypiciem toastu jeszcze tych kilka minut, aż sędzia odgwiżdzał koniec meczu z Brazylią i mogliśmy spokojnie wypić za srebrny medal. Gratulowano nam zwycięstwa, jak byśmy to my trzej zdobyli je osobiście. Tak przecież traktowano wszystkich Polaków, gdziekolwiek byli poza granicami kraju i znaleźli się wśród przyjaciół lub sympatyków naszej piłki nożnej.

Dalszy ciąg na str. 7

JAN HUSZCZA

## PRZY PIOTRKOWSKIEJ 96

(DZIENNIKARKA II)

Z Lublina wyjechaliśmy w sobotę 10 lutego 1945 roku. Ciężarówkami przez Radom... Nie obeszło się bez przykrych wypadków. Ledwo uratowano obsługę i aparaturę. Mieszkańcy chodzą z białoczerwonymi i czerwonymi wstążkami w klapach płaszczy i ubrań... Ciągłe przychodzą wiadomości o uruchamianiu niektórych fabryk lub przynajmniej ich oddziałów...

Gożej z aprowicacją! Stołówki i bary powstają z wielkim opóźnieniem... Na ulicach wieczorami często słyszy się strzelanie na wiat. Wyzywają się ci, co nie trafili lub nie chcieli trafić (raczej) to drugie) na front! Rzecz jasna zdarzają się i nieszczęśliwe wypadki. Ale na nikim nie robi to wrażenia, ludzie zbyt przyzwyczaili się do śmierci.

Ulica Bandurskiego (obecnie: Mickiewicza) za Reichu nazywała się — Ostlanstrasse, aleja Kościuski — Hermann Goeringstrasse, Piotrkowska — Adolf Hitlerstrasse...

Przy ul. Bandurskiego panował wiejski niemal spokój. Aleja Kościuski to w części dawna ulica Spacerowa, pośrodku dwa rzędy topól i laweczki, przed nie istniejącym wtedy gmachem Komitetu PZPR zieloneje murawy, na której widać dosłownie kozy. W maju na Wólcańskiej kłaskają słowiki.

Ale wybierzmy się do gmachu przy Piotrkowskiej 96. „Czytelnik” z prezesem Jerzym Borejszą staje się stopniowo jakimś koncertem, na razie prasowym — różne pisma w Łodzi i gazety w innych miastach — po pewnym czasie i wydawniczym. Dobrze, że ten koncert ma swoją skromną stołówkę (potem będzie miał kawiarnię, słynną „Fraszkę”,

Dalszy ciąg na str. 5

Piszę te słowa pod wyrażeniem kilkudniowych emocji — tak, emocji, bo trudno to inaczej nazwać uczucia — jakie przeżywałem podczas obchodów tegorocznego święta lipcowego. Dzięki telewizji wszyscy właściwie mogliśmy być wszędzie, współuczestniczyć w wydarzeniach ważnych i pamiętnych, które rozgrywały się jak kraj długi i szeroki: w Chelmie Lubelskim i w Rudnej na Dolnym Śląsku, w Porcie Północnym i w hucie „Katowice”.

Określając swe odczucia, jako przede wszystkim emocjonalne, chciałbym się zaraz sprawiedliwić. Na oceny i głębsze refleksje przyjdzie czas później. Dziś jest ten moment, kiedy chciałoby się na kartce papieru, zapisać ten stan uczuć milionów Polaków, te wszystkie masowe symbole jedności narodu i zwykłe ludzkie wzruszenie każdego z nas, kiedy czujemy zasłużoną du-

mę i pewność, że jako naród społeczeństwa socjalistycznego. I tak myślę, zastanawiając się nad tym co dla naszej przyszłości jest najbardziej charakterystyczne — że jest ona jakby w zasięgu ręki. Tak właśnie, blisko, chociaż określamy ją na lat dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia. I jest blisko, mimo że w tym czasie przybędzie nam siłowych wosów, a nasze dzieci staną się dorosłymi ludźmi. Jest blisko, w tym symbolicznym zasięgu ręki, bo o kształcie tej przyszłości decydujemy już dzisiaj. Tak samo jak o dniu dzisiejszym nasz naród i partia zdecydowały trzydzieści lat temu.

## PO LIPCOWYM ŚWIĘCIE

na partia tę śmiała na jest blisko, mimo że w tym czasie przybędzie nam siłowych wosów, a nasze dzieci staną się dorosłymi ludźmi. Jest blisko, w tym symbolicznym zasięgu ręki, bo o kształcie tej przyszłości decydujemy już dzisiaj. Tak samo jak o dniu dzisiejszym nasz naród i partia zdecydowały trzydzieści lat temu.

dem, dla którego historia stała się szkołą świadomości społecznej i narodowej. Świadomości wyrosłej w harmonijnej symbiozie wszystkich pokoleń Polaków. I tych, którzy po raz pierwszy prze-

Goszcząc przez kilka dni Leonida Breżniewa społeczeństwo polskie dało wyraz akceptacji również dla tamtego wyborcu. Ciepło, z sercem, z sympatią i po braterski witaliśmy sekretarza generalnego KPZR, którego wizyta

stała się symbolem czegoś trwałego i wielkiego. Przyjaźni narodów, która w systemach politycznych przeszłości nie mogła się rozwinąć. I dopiero dzięki radzieckim i polskim komunistom mogliśmy tego przełomu dokonać. I na fundamencie braterskiej przyjaźni, pomocy Kraju Rad w chwilach najtrudniejszych, możemy dziś z dumą oceniać przeszłość i z jeszcze większą nadzieją patrzeć w przyszłość.

Tak, obchody trzydziestolecia nie mogły mieć innego charakteru, niż manifestacji naszych możliwości. Tak bym nazwał „prezenty” na 30-lecie: pierwszy etap Portu Północnego, kopalnie Rudna, Trasę Łazienkowską, stan surowy Zamku Królewskiego w Warszawie, setki i tysiące nowych obiektów przemysłowych, gospodarczych, socjalnych i kulturalnych, które oddano do użytku w przyszłym terminie. Czyni

społeczne całego społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, które przelicza się na miliardy złotych. Nawet sukcesy naszych sportowców... Kończąc tę niedokończoną refleksję patrzę na grubą, szarą kopertę. To materiały na plenarne posiedzenie Komitetu Łódzkiego partii, które odbędzie się 24 lipca. Właśnie, już za dwa dni. I jestem pewny, że nie jest to termin przypadkowy, to wzięcie na warsztat niemal nazajutrz po świętecznych obchodach, spraw bieżących — ocenę pierwszego półrocza i zadania do końca roku 1974. Nasze sprawy toczą się bowiem wartko, nie ma czasu by spoczywać na laurach, nie ma ontraktyw w tej grze o jutro. Półrocze, następny rok, ostatni, a więc decydujący o całym planie 5-letnim. Potem następne pięcioletcie i następne. W marszu, stale w marszu...

JERZY WAWRZAK

## NASTĘPNA ZMIANA

Jeden z zagranicznych komentatorów, który obserwował nasze jubileuszowe uroczystości w Warszawie, stwierdził, że to nieprzypadkiem na defiladzie trzydziestolecia maszerowało wojsko i młodzież. Wojsko — powiedział on — przyniosło Polsce wolność i wyzwolenie społeczne. Młodzież jest Polski największym skarbem. Dla Francuzów natomiast niezwykle symboliczne było to, że zegar na Zamku Warszawskim ruszył dokładnie w tym momencie, w jakim zatrzymał się gdy Zamek płonął.

Zagraniczni obserwatorzy naszych uroczystości szukali symboli, szukali skrótów, syntez, które ułatwiłyby im rozumienie tego, co się u nas dokonało i dokonuje. A jeśli już poszukuje się symboli i syntez, to warto zauważyć, że w ogóle przed trybuna 22 lipca 1974 roku w Warszawie stała sama młodzież, bo przecież armia nasza też jest młoda, choć prowadził ją starszy, doświadczony oficerowie. I to właśnie stano- wia kolejny symbol — jeśli już ich tak uparcie poszukuje się — jedność tradycji i współczesności. Nasza młoda armia wyrosła na bojowych tradycjach spod Lenina, Kołobrzegu, Wału Pomorskiego i Berlina, doskonała je i rozwijając w żołnierskim trudzie weale niełatwych czasów pokoju, którego trzeba strzec zbrojnym potencjałem wszystkich armii Układu Warszawskiego.

A więc młodzież. Młodzież maszerowała ulicami Warszawy w lipcowe święto. Młodzież defilowała największym placem Warszawy, a patrzył na nią nie

tylko cały kraj, ale patrzyli za pośrednictwem telewizji i inni, nasi sąsiedzi i przyjaciele.

Stalo się już tradycją, że każde lipcowe święto wiąże się ze złotem młodych. Oficjalnie nazywa się to Złotem Młodych Przdowników Nauki, Pracy i Wyszakowania Wojskowego, ale najczęściej mówi się po prostu — Złot Młodzi Polkiej, zlot najlepszych. A w tym roku mówiło się też: „Warszawa — 74”, choć wszystko zaczęło się nie w Warszawie, a na licznych przedzlotowych obozach, rozsiadanych po całym kraju, w których uczestniczyło około 18 tys. młodych. Do Warszawy przyjechało 3 tys. delegatów, ale przed trybuna 22 lipca 1974 roku maszerowało znacznie więcej młodych. Maszerowali nie tylko delegaci zlotowi, maszerowali przedstawiciele wszystkich regionów Polski, wszystkich zawodów, młodzi z największych fabryk i inwestycji.

Najpierw byli Katowice, później — Łódź, Kraków i w tym roku Warszawa. Złot młodych — to nie tylko piękna impreza, gwar i śpiew, to przede wszystkim podsumowanie całorocznej pracy dla Polski, to okazja do wymiany doświadczeń, do sprzytowania najbliższych zadań, to okazja do rozważań nad naszą współczesnością. I to chyba najważniejsze, co wymsza młodzież ze swoich dorocznych, lipcowych spotkań, to przekonanie, że oni też stają się współgospodarzami ludowej ojczyzny. A to nie jest tylko hasło. Taką jest prawda.

W różny sposób patrzyliśmy już na nasze 30 lat, starając się określić nasze miejsce i ro-

lę w światowej gospodarce, określić naszą pozycję na politycznej mapie świata. Spróbujmy też spojrzeć na nasze trzydziestolecie w świetle badań demograficznych. Otóż na początku 1946 roku było nas 23,9 miliona osób. W 1950 — było nas już 25 milionów, w 1960 — 29,7 miliona, w 1970 — 32,6 miliona, a w grudniu 1973 roku osiągnęliśmy już liczbę 33 363 tys. mieszkańców Polski.

Młodość jest pojęciem względnym, podobnie jak starość, choć tu wiele do powiedzenia ma biologia. Demografowie muszą jednak określić granicę choćby formalnej młodości i dlatego przyjęli 30 lat, jako kraniec tego, co zwymy młodością. A jeśli tak, to do 1973 roku urodziło się w Polsce blisko 19 milionów ludzi. I dziś społeczeństwo nasze w połowie składa się z ludzi do lat 30, a więc urodzonych, wychowanych i wychowujących się już w Polsce Ludowej.

Młodzi są wszędzie: przy budowie Portu Północnego, zbudowali Trasę Łazienkowską, budują Hutę Katowice, fabryki w Bielsku-Białej i Tychach, budować będą Belchatów oraz modernizują Łódź. Młodzi przede wszystkim się uczą. Z myślą o przyszłości naszego kraju reformujemy system oświaty w Polsce, sprzecywaliśmy program wychowawczy zawarty w uchwałach VII Plenum KC PZPR. Zdaliśmy bowiem sobie sprawę, że młodość jest naszą siłą, przyszłością naszego kraju, ale też przeszłość trzeba uzbudzić w nowoczesną wiedzę, wzbogacić o to wszystko, co wartościowego zawiera nasza tradycja narodowa.

M. R.

## KONKURS NA REPORTAŻ O ZIEMI ŁÓDZKIEJ ROZSTRZYGNIĘTY

W maju Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi wspólnie z WRZZ, ZLP, WL i naszą redakcją zaprosił do udziału w zamkniętym konkursie kilkunastu dziennikarzy i literatów. Celem konkursu, najogólniej mówiąc, było dokonanie reporterskiego zapisu zjawisk i problemów, jakie mają miejsce na Ziemi Łódzkiej; przedstawienie obrazu współczesności w jej kontekście historycznym i przeszłościowym.

Konkurs został rozstrzygnięty i przyniósł godne uwagi rezultaty. Jury, obradujące pod przewodnictwem Jerzego Wawrzaka, przyznało I nagrodę (8000 zł) red. JANOWI BĄBIŃSKIEMU z łódzkiej rozgłośni PR. Pozostałe nagrody zdobyli literaci, członkowie łódzkiego oddziału ZLP; dwie drugie (po 5000 zł) — TADEUSZ PAPIER i RYSZARD BINKOWSKI, trzy trzecie (po 3000 zł) — EWA OSTROWSKA, EUGENIUSZ IWANICKI i ANDRZEJ MAKOWIECKI.

Wszystkim nagrodzonym składamy serdeczne gratulacje. Czytelników informujemy, że jeszcze w sierpniu rozpoczniemy drukowanie nagrodzonych prac.

## NOWY KALEJDOSKOP

Ukazał się już w kioskach lipcowo-sierpniowy numer informatora kulturalnego „Kalejdoskop”. Sledzimy od początku z sympatią to nowe, pożyteczne i potrzebne wydawnictwo i tym razem możemy je pozytywnie zarekomendować naszym czytelnikom. A wydaje się nawet, że autorzy „Kalejdoskopu” zrobili dalszy krok w porównaniu do poprzednich numerów.

Bieżący numer (jak i poprzednie) nie tylko informuje o aktualnościach życia kulturalnego w Łodzi, ale jest wizytówką środowisk artystycznych miasta: plastycznego, literackiego, teatralnego, filmowego, mu-

zycznego; penetruje także rejonny związane z ruchem amatorskim i upowszechnieniem dóbr kultury, a także nauka.

„Wakacyjny” numer „Kalejdoskopu” otwiera prezentacją sylwetki twórczej J. Rybkowskiego, popularnego reżysera filmowego, od niedawna dziekana reżyserii PWSFTiF. O potrzebie m. in. powstania monografii dzieł naszego miasta z doc. dr R. Rosinsem rozmawia B. Sikorski. Anonimowy (?) autor w ciekawy sposób przedstawia dorobek naukowy prof. dr Jana Michalskiego, dyrektora Centrum Badań Molekularnych PAN w Łodzi.

Teatr reprezentują dwaj złołowi i popularni artyści łódzkich scen: Jerzy Przybylski i Bogusław Sochnacki. Muzykę dyrygent Zdzisław Szostak, literaturę Leon Gomolicki, plastykę Andrzej Bartczak i Andrzej Kabała. Sylwetki ludzi nauki i sztuki ilustrowane są zdjęciami J. Kubika i karykaturami S. Arabskiego, oraz w wypadku plastyków reprodukcjami ich dzieł.

W dziale informacyjnym noty o nowościach Wydawnictwa Łódzkiego. Numer zamyka prezentacja naszego sztandarowego zespołu amatorskiego im. Sz. Harnama oraz wspomnienie o początkach powstania „Unionotexu”.

## PROSZĘ O GŁOS!

## ODPOWIEDŹ CZYTELNIKOWI

Otrzymałem list od czytelnika, który nie miał odwagi podpisać się nazwiskiem. Czytelnik ów pisze: „Niech mi pan powie, czy jest normalne, że ja chcę sobie kupić od lat nowego „Wartburga”, trzymam pieniądze, ponad 1000 tys. zł i kupić nie mogę. Ciągle czekam i czekam (...). Niech mi Pan odpowie, za ile lat będzie normalną rzeczą w Łodzi iść do sklepu, wyjąć pieniądze, zapłacić i wziąć „Wartburga” i to jeszcze w kolorze, jaki mi się podoba...”

List ma jeszcze post scriptum: „Chyba mi Pan nie odpowie”.

Dlaczego, drogi Panie? Sprawa jest prosta. Nie odpowiem oczywiście, za ile lat wyda Pan swoje 100 tysięcy, ale mogę powiedzieć, że nieprędko. A czemu? Po prostu więcej jest ludzi w Polsce, którzy potrzebują mieszkań, mebli, więcej potrzeba nowych stanowisk pracy — niż jest ludzi, którzy mają „rezerwowe” 100 tysięcy na samochód.

Sądząc ze sposobu napisania listu, jest Pan człowiekiem inteligentnym i dlatego nie ma potrzeby przypominania spraw oczywistych. Ale przecież pamięta Pan czasy, kiedy na przydziałowe talony kupowało się radia, potem na talony były telewizory, był czas, kiedy kupno lodówki było problemem...

Jest dla mnie obojętne, czy Pan istotnie trzyma w szufladzie „rezerwowe” 100 tysięcy złotych, czy to tylko retoryczny chwyt, mający uwierzytelnić sens pańskich pytań. Dla mnie najistotniejsze jest to, że Pan — nie licząc się z rzeczywistością, jaka Pana otacza i w której Pan żyje — stawia siebie w sytuacji członka konsumpcyjnego, bogatego społeczeństwa Zachodu.

„Mam swoje pieniądze, chcę mieć samochód takiej to i takiej marki i to dziś o godzinie dziesiątej zero zero”...

Wie Pan, co prawda, że to niemożliwe, więc Pan pyta: kiedy?

Jest to postawa mało realistyczna i podejrzewam, że więcej w Pana liście przekory niż istotnej chęci otrzymania odpowiedzi.

Dziś wciąż problemem jest nowe mieszkanie, dziś ważniejsze są nowe stanowiska pracy dla wstępującego pokolenia... I są to sprawy ważniejsze od chęci kupienia „od ręki” w sklepie samochodu za żywą gotówkę. Pański list jest oczywiście ironiczny, ale niech Pan zdemonstruje te ironie małżeństwu z dwojgiem dzieci, które czeka w kolejce na M-3. Niech im Pan powie, jaki to skandal, że Pan nie może kupić w sklepie „Wartburga” yellow bahama... Nietrudno zgadnąć, co Panu odpowiada.

Czyż naprawdę trzeba tłumaczyć, co to jest gradacja potrzeb? Przed motoryzacją społeczeństwa nie uciekniemy i polityka władz w tej dziedzinie świadczy, że nie uciekamy. Ale wciąż są sprawy ważniejsze. I one determinują politykę gospodarczą i ekonomiczną.

JERZY WILMAŃSKI

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDlich, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYBOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora nacze lnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sektarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

Jerzy Putrament zadając sobie pytanie na temat naczelnej cechy osobowości autora „PIERWSZEGO DNIA WOLNOŚCI” znalazł odpowiedź, która z pewnością może „zabrzmi jak frazes a przecież nie można tego przemilczeć: służba socjalizmowi. Wszystkie jego poczynania, jego skromność osobista, cała jego twórczość — wszystko to da się zebrać w tym ogólnym mianowniku. Jeśli będziecie badać jego życie i twórczość, jeśli natkniecie się na jakieś sprzeczności, kłopoty, nawet słabości, bez tego klucza ich nie rozplączcie. Żył w epoce, kiedy sprawa socjalizmu przechodziła niejednym ostrym zakrętem... który przesłaniał perspektywę wszystkim. Jeśli znajdziecie u niego jakieś splątanie, pamiętajcie o tle historycznym.”

Leon Kruczkowski był istotnie twórcą manifestującym całą swoją drogą życiową i artystyczną postawę zorientowaną na wartości socjalizmu, stąd też jego stanowisko było wolne od niezdeterminowania, wahań i meandrow ideowych, tak rozpowszechnionych w kręgach współczesnej mu generacji autorskiej. Z tego powodu prezentował niezmiennie charakterystyczny rys stanowiska społecznego i estetycznego, całkowicie wolnego od ponętnej mody, krzykliwych a koniunkturalnych przełomów.

Na tego typu proces duchowy wpłynęło z całą pewnością równoczesne dostrzeżenie jako pisarza i społecznika. Wybór drogi literackiej korespondował ściśle ze świadomym wyborem ideologii socjalistycznej. I trzeba zaakcentować, że obydwie te aspekty aktywności Leona Kruczkowskiego były ze sobą powiązane silnymi nićmi od wczesnej młodości.

Nie bez znaczenia była fascynacja pisarstwa i indywidualnością Stefana Żeromskiego. Być może, iż autor „Przedwiośnia” wpłynął do pewnego stopnia na wybór szlaku życiowej wędrówki absolwenta chemii krakowskiej Wyższej Szkoły Przemysłowej. Ten krakowianin od samej kolebki, a ściślej biorąc od 28 czerwca 1900 roku, rzuca w 26 lat później gród podwawelski, aby przenieść się do Zagłębia Dąbrowskiego. Na terenie przysiółkowej „ziemi czarnej” pracuje w charakterze nauczyciela przedmiotów ścisłych w szkole zawodowej do roku 1933.

Okres siedmioletniego pobytu w największym skupisku polskiego proletariatu był znakomitą lekcją życia społecznego dla późniejszego autora „Kordiana i chama”. Za pośrednictwem ożywionych kontaktów z młodzieżą górniczą poznawał koloryt twardej i ciężkiej pracy oraz obserwował bacznie tło konfliktów klasowych. Nic też dziwnego, że wrażliwość twórcza znalazła szybko reperkusję w formie pierwszych wierszy o jednoznacznej wymowie klasowej:

„Bezrobotni” i „Czarna wyspa”.

Swoją podziw i szacunek dla pierwszego przewodnika duchowego zawarł bezpośrednio po śmierci Stefana Żeromskiego w elegii na jego cześć, streszczając uczucie niezmiernego żalu w słowach: „Jako o śmierci ojca wlem o śmierci Twojej”.

Leon Kruczkowski zbliżył się natychmiast do lewicowego nurtu literackiego, nasycającego się aktualnymi antagonizmami społecznymi. Jednocześnie ten kierunek był najczulszym barometrem nastrojów mas ludowych, rejestrując nastroje wżenia i niepokójów klasowych. Stąd też przylgnęła do tej orientacji literackiej nazwa nurtu proletariackiego, zastąpiona z czasem terminem — socjalistyczny. U podłoża jego narodzin znalazły się przede wszystkim aktualność społeczna, związek z życiem oraz zaangażowanie w idee ruchu robotniczego.

Twórczość literacka i publicystyczna Leona Kruczkowskiego odegrała znaczną rolę w krystalizowaniu się tych tendencji w świecie pisarskim. Szczególnie cennym wkładem jego wystąpienia były nie tylko odpowiedni ciężar gatunkowy pod względem intelektualnym i ideologicznym, ale także jednoznaczna tendencja całkowitego oddania w służbę socjalizmu.

Autor „Kordiana i chama” walczył nie tylko piórem w obronie umiłowanej sprawy, ale też czynnie demonstrował swój głęboko humanitarny stosunek do pracy oraz społecznych problemów epoki. Jak wspominał Bolesław Dąbrowski wszystkim uczestnikom pamiętnego Zjazdu Pracowników Kultury we Lwowie, w dniach majowych 1936 roku, staje przed oczami wizerunek Kruczkowskiego jako niezwykle aktywnego mówcy w burzliwych dyskusjach, a przy tym

trzymał w swej dłoni rękę robotnicy w serdecznym i symbolicznym uścisku.

Taki obraz autora „Kordiana i chama” przetrwał we wspomnieniach jego przyjaciół:

„Był ludzki w okresie ciężkim — według relacji Jerzego Putramenta — został wierny w okresie chwiejnym. Iu takich było?... A był wysoko i takim było najtrudniej.”

Istotnie, natychmiast po wyzwoleniu piastował odpowiedzialne funkcje państwowe. Powróciwszy z obojgu, pisarz włączył się w walki prądów społecznych i politycznych. Wstępuje do Polskiej Partii Robotniczej, a następnie wchodzi do składu Krajowej Rady Narodowej. Otrzymuje tekę wiceministra kultury i sztuki oraz godność poselską. Trudno po prostu wyobrazić sobie z jakich źródeł czerpał zapas czasu na pracę literacką i publicystyczną a przecież na tych wszystkich czynnościach nie urywa się lista szczytów obowiązków Leona Kruczkowskiego. Dochodzi jeszcze działalność w Ruchu Obrótców Pokoju. W jego obrębie pełnił rolę delegata na podobnego rodzaju Kongresach i Zjazdach, które miały miejsce w Paryżu (1949), Nowym Jorku (1949) i Sztokholmie (1950), wstawianym Międzynarodowym Apielem Pokoju i Wiedni (1952). Zasiadał we władzach Związku Literatów Polskich pełniąc obowiązki prezesa w latach 1949—1956 oraz Ogólnopolskiego

Teatr Leona Kruczkowskiego prezentuje konflikty moralne naszych czasów, obserwowane przez pryzmat postępowych postaw ideowych. Z tego powodu jego sztuki nie rejestrują faktów z życia, są natomiast areną wzajemnego przenikania się sfer polityki i etyki. Klimat jego dramaturgii nasycają konflikty ideowe sprawy ludzkich postaw, dominujące nad problemami uczuć i namiętności.

Znakomity pisarz podjął się w swoich utworach jakże trudnej roli tłumacza, przekładającego zwężone, lapidarne postulat polityków i działaczy kulturalnych na bardziej precyzyjny język uściślonych pojęć literackich. W taki sposób dźwigał na swoich barkach funkcję pioniera na przedpolach frontu nie tylko literackiego, włączając się w żywy nurt marksistowskiej krytyki i publicystyki. Wskazywał pisarzom właściwą drogę, bowiem przez dłuższy czas niełatwo było rozszyfrowywać prawdziwe treści ówczesnych przeobrażeń historycznych. Pomagał w tamtych, skomplikowanych z wielu względów, czasach, dostrzegać konkretne, żywego człowieka, jakże często przysłoniętego konstrukcjami i rusztowaniami nowych budowli ustrojowych a przede wszystkim współtworzącego zreby nowej formacji społecznej i ekonomicznej niejednokrotnie w dramatycznej walce.

A przy tym niezmiennie podkreślał że „kluczem pisarskim otwierającym współczesne bogactwo twórcy, któremu na imię człowiek w walce, w gwałtownym procesie historycznym, może być... oręż teorii marksistowsko-leninowskiej”.

Leon Kruczkowski słynął ze swojej głęboko humanitarnej postawy. Jego słowa w tej mierze nigdy nie odbiegły od czynów. Daleki od jakiegokolwiek zakłamania nade wszystko miłował prawdę, a godność ludzką cenił najwyżej, unikając pozycji konformistycznych. Odpowiednie światło na moralną sylwetkę autora „Odwetów” rzuca Jerzy Putrament:

„Dwa razy znalazłem się w sytuacji, gdy od jego zdania zależały moje losy. Chodziło o rzecz zdawałoby się dziecinnie prostą, o stwierdzenie, czy białe jest białe. Potwierdził. Nic nadzwyczajnego, zdawałoby się. Tak, ale ilu wtedy było takich, którzy najpierw popatrzyli do góry i dopiero potem mówili, co widzą. Ta potwierdzona wówczas oczywistość była dla mnie bezennym dowodem więcej wartym niż cała gadanina późniejszych ikonoklastów”.

Śmierć w dniu 1 sierpnia 1962 wyrwała pisarza i polityka nieoczekiwanie w szczytowym okresie aktywności literackiej przerywając pracę nad dwoma rozpoczętymi dramatai, przekreślając dalsze poszukiwania nowych kształtów ideowych i artystycznych rozwiązań dla nurtujących go problemów moralnych i politycznych. Dzieło jego życia przetrwało za pewnością zarówno w formie literackiej jak i we wspomnieniach przyjaciół, bowiem używając słów Jarosława Iwaszkiewicza:

„To był bardzo mocny człowiek, mało jest takich jednolitych ludzi w naszych czasach”.

## ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

# LEON KRU CZKOWSKI

W trakcie pracy zawodowej na Ziemi Zagłębiowskiej ujawnia pasję publicystyczną, zbierając żywe refleksy w wystąpieniach prasowych licznych recenzjach i artykułach, publikowanych na łamach „Kurierza Zachodniego”.

Powieść „Kordian i Cham” z roku 1932 wprowadziła swego twórcę do grona pisarzy a jednocześnie zainicjowała długotrwałą i ostrą polemikę ideologiczną. Ta ostatnia daleko przekroczyła treść zawartą w książce, wprowadzając na szeroką arenę dyskusji tak zasadniczą dla ówczesnego frontu ideologicznego.

całym swoim opanowaniem i spokojem, żarliwego polemisty.

I oto pewnego dnia zbliżyła się do stołu prezydiального zjazdu starsza, nędźnie ubrana robotnica, Maria Pancewicz, położyła wianuszek kwiatów i odezwała się wśród pełnej skupienia ciszy:

„Przybywam w imieniu strajkujących robotników, aby podziękować Wam za współpracę w ich imieniu.

Niech ta Wasza praca przyniesie lepsze jutro dla naszych mężów i dzieci!”

Wówczas Leon Kruczkowski w towarzystwie Andrzeja Struga podeszedł do stołu. W oczach pisarza zaśnily łzy i wzruszenie udzieliło się także wielu zebranym. Przez dłuższą chwilę

Komitetu Obrótców Pokoju. W Świątowej Radzie Pokoju znalazł się jako reprezentant swojego kraju.

Po wojnie stałą formą wypowiedzi artystycznej autora „Kordiana i chama” stał się dramat. W tym wypadku pisarz demonstruje swoją niezawodną intuicję społecznika i moralisty. Jego nowe utwory: „Odwet” (1949), „Niemcy” (1949), „Juliusz i Ethel” (1954), „Odwiedziny” i „Pierwszy dzień wolności” (1960) oraz „Śmierć Gubernatora” (1961), były głęboko zakotwiczone w podglebiu naszego życia społecznego i politycznego, otwierając szerokie perspektywy także przed kwestiami o wymiarach uniwersalnych, ogólnoludzkich.

## STEFAN FIJAŁKOWSKI

# ROSŁA W SIŁĘ

Przeprowadzone w 1948 r. prace przygotowawcze do zjednoczenia: weryfikacja, oczyszczanie szeregów partyjnych, porządkowanie ewidencji, akcje szkoleniowe i zbiórka na Wspólny Dom Partii, w zasadniczy sposób przyczyniły się do zwartości ideowo-politycznej i organizacyjnej przyszłej zjednoczonej partii. Umożliwiły one także sprawne przeprowadzenie scalenia szeregów partyjnych już po Kongresie Zjednoczeniowym a także wpłynęły na umocnienie pozycji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wśród społeczeństwa. W listopadzie odbywały się zebrań kół partyjnych poświęcone omówieniu projektu statutu. Wielu członków partii nadesłało swoje uwagi i projekty poprawek bezpośrednio do redakcji „Głosu Robotniczego”, organu KW PPR.

Konferencje partyjne poświęcone wyborowi delegatów na Zjazd Krajowy PPR i Kongres Zjednoczeniowy odznaczały się starannym przygotowaniem. Wojewódzka organizacja PPR wybrała na II Zjazd Krajowy i Kongres Zjednoczeniowy 49 delegatów. Byli to przewodnicy pracy, cniopi mało- i średniorolni oraz członkowie partii na odpowiedzialnych stanowiskach. Wśród delegatów byli m. in. Adam Dolinski — działacz ruchu robotniczego z Piotrkowa Tryb., kierownik Wydziału Zawodowego KC PPR, wybrany w Piotrkowie, Czesław Domagała — I sekretarz KW PPR w Łodzi, Stanisław Kujda — I sekr. KP PPR w Rawie Maz., Franciszka Rybinska — pracownica huty „Hortensja” w Piotrkowie Tryb., Irena Rożycka — sekretarz KG PPR w Białej, Stanisław Spurek — nauczyciel z Radomska.

W okresie poprzedzającym Kongres Zjednoczeniowy tysiące członków PPR i PPS z Piotrkowa Trybunalskiego, Tomaszowa Mazowieckiego, Radomska, Pabianic i innych ośrodków przemysłowych stało się inicjatorami i uczestnikami socjalistycznego współzawodnictwa. Powołane w listopadzie powiatowe, miejskie i gminne komitety uczczenia Kongresu Zjednoczeniowego organizowały działalność polityczno-propagandową w poszczególnych środowiskach.

Po Kongresie Zjednoczeniowym najważniejszym zadaniem, jakie stało się przed wojewódzka organizacją PPR było faktyczne scalenie organizacji partyjnych. W czasie tej akcji do 13. V. 1948 r. wstrzymano przyjmowanie do partii no-

wych kandydatów oraz dokonywano weryfikacji wszystkich członków. Kampania wyborcza trwała do czerwca 1948 r. i zakończyła się konferencją wojewódzka. Równocześnie porządkowano i ujednolicono ewidencje partyjne. Z listy członków partii skreślono tych ludzi, którzy od dawna nie utrzymywali kontaktu z organizacją partyjną, wyemigrowali lub zmarli.

23 grudnia odbyło się I Plenum Komitetu Wojewódzkiego, które dokonało wyboru wojewódzkiej władzy partyjnych. Na stanowisko I sekretarza KW wybrano Czesława Domagałę, II sekretarzem został Witold Sienkiewicz. Do 27 stycznia 1949 roku zakończona została w województwie łódzkim akcja wyboru władz we wszystkich najniższych ogniwach PZPR. W 453 kołach fabrycznych, 66 kołach kolejowych, w 363 kołach w urzędach i instytucjach, 267 kołach terenowych oraz w 1062 kołach gromadzkich (z 96 innych) rozpoczęły swą działalność nowe władze partyjne.

W czasie wyborów władz partyjnych w województwie łódzkim nie zanotowano większych starć między byłymi członkami PPR i PPS. Jedynie u niektórych b. członków PPR persistujących funkcje kierownicze stwierdzono tendencje do favorizowania aktywistów z b. Polskiej Partii Robotniczej. W niektórych

organizacjach spotykano także wypadki forsowania do władz ludzi tylko ze swojej partii. Były też wypadki zatajania przed współnymi władzami dokumentacji partyjnej PPS.

1 marca 1949 r. PZPR w województwie łódzkim liczyła 63.183 członków. Jak wynika ze statystyk wewnątrzpartyjnych na dzień 1 marca 1949 r. wpłynęło ogółem 57.293 kwestionariusze, w tym ponad 53.000 od członków uprawnionych do otrzymania wkładek PZPR. Wypełnienia kwestionariuszy odmówiło 1.006 członków, w tym 827 z b. PPR i 179 z b. PPS.

Stwierdzono, iż około 3.250 członków nie posiadało żadnych dokumentów partyjnych, a dokumenty 860 członków były nieważne. Z brakujących 4.884 członków i kandydatów m. in. wyjechały na inne tereny 2.773 osoby, powołano do wojska 334, zmarło 135.

II Plenum KC PZPR, które odbyło się w dniach 20—21 kwietnia 1949 r. dokonało podsumowania akcji scaleniowej. W maju Biuro Organizacyjne KC PZPR podjęło uchwały o wymianie dotychczasowych legitymacji partyjnych na PZPR-owskie oraz w sprawie rozbudowy szeregów partyjnych na wsł.

Weryfikacja szeregów partyjnych, zwłaszcza zaś nie zawsze do końca uargumentowane usunięcia z partii, niepra-

Dalszy ciąg na str. 6

Mrs. Whympier już czekała, martini było też. Tym razem nawet w malej karafce. A więc szofer nie potrzebował przynosić za każdym razem po kieliszku. Było mi trochę głupio, oszacowałem, że karafka zawiera co najmniej sześć do ośmiu kieliszków martini.

Próbowałem rozmawiać w tonie zdecydowanie rzeczowym, by móc możliwie szybko odejść.

— Gdzie zawieszmy Renoira? — spytałem. Wzięłem ze sobą wszystko, to nie potrwa i dwie minuty.

— Przeproszę, wszystkie musimy uporządkować z tym. — Mrs. Whympier, cała w różowym, wskazała na karafkę.

— Pańska mieszanka z wódką! Bardzo dobra! Orzeźwimy się trochę. Dzień jest taki upalny.

— Czy martini nie za mocny na taki upał?

— Roześmiała się.

— Nie sądzę. Pan również nie wygląda na takiego. Rozczłamał się.

— Czy nie zachęcałaby pani zawiesić go tutaj? Nad sofą jest dobre miejsce.

— Właściwie tutaj wszystko jest kompletne. Kiedy był pan ostatnio w Paryżu?

— Poddałem się losowi. Po drugim koktajlu wstałem.

— Teraz musimy przystąpić do roboty. Czy już podjęła pani decyzję?

— Nie wiem dobrze. Co pan radzi?

Wskazałem miejsce nad sofą.

— Jak stworzone na obraz z kwiatami. Pasuje tu doskonale i ma dobre światło.

— Lem na chwilę o gnębającym mnie przecuciu.

— Tutaj! — oświadczyłem. — Tylko tutaj! Nad tą komodą.

Mrs. Whympier nie odezwała się. Patrzyła na mnie jakimś zamglonym, prawie nieobecny wzrokiem. — Czy pani też tak sadzi? — zapytałem przytrzymując małego Renoira nad komodą.

— Przyglądała mi się nadal i uśmiechnęła się.

— Gdybym miał jakieś krzesło, żeby stanąć na nim — powiedziałem.

— Niech pan weźmie którekolwiek — odezwała się wreszcie.

— Z tych krzesel Ludwika XVI?

— Uśmiechnęła się ciagle.

— Dlaczegoż by nie?

Wypróbowałem jedno z krzesel. Nie chciałem się. Wstałem się na nie ostrożnie i zacząłem wymierzać ścianę. Za mną była cisza. Określiłem wysokość zawieszania obrazu i przystąpiłem gwóźdź. Ale zanim zacząłem go wbijać, objechałem się do tyłu. Mrs. Whympier stała tam gdzie przedtem, z papierosem w ręce i przyglądała mi się z jakimś szczególnym uśmiechem. Czulem się nieswojo i szybko zabrałem się do wbijania. Hak trzymał dobrze, wzięłem więc obraz, który przedtem położyłem na blacie komody i zasłonek go. Zszedłem wówczas z krzesła i odstawiłem je z powrotem na bok. Mrs. Whympier stała wciąż nieporuszona. Obserwowała mnie dalej.

— Czy tak się pani podoba? — spytałem i wzięłem swoje rzeczy. Skinęła głową i skierowała się ku schodom. Odchylałem i pośpieszyłem za nią. Wróciła do pierwszego pokoju i podniosła karafkę.

— Strzeżennego?

## LEKTURA NA WAKACJE

na drugie piętro, na którym znajdował się mój pokój. Zatrzymałem się przy drzwiach.

— Możesz sobie odejść, jeżeli chcesz — rzekłem.

— Odsunęła mnie na bok i pchnęła drzwi.

— Chodź — powiedziała.

— Wszedłem za nią i zamknąłem drzwi. Nie zamykałem na klucz, czulem się tak, jak bym zainkasował od tyłu bolesny cios, oparłem się o ścianę. Miałem uczucie, jakbym się znajdował w windzie, która pędzi w dół, mnie natomiast coś pchało do góry, w oczach zrobiło mi się ciemno, a w czasie czulem jakby przelewającą się wodę z kuba i szum, trzymałem się mocno, przycisnąwszy obydwie dłonie do ściany.

— Zobaczyłem Nataszę leżącą w łóżku. — Dlaczego nie idziesz? — spytała.

— Nie mogę.

— Co?

— Nie mogę.

— Nie możesz?

— Nie — odpowiedziałem. — Przekłete schody!

— Co ze schodami?

— Nie wiem. Wygląda to jak przekłete ciału interruptus.

— Co?

— Nie mogę, to wszystko. Wyrzucił mnie, jeśli chcesz!

— Z twojego własnego pokoju?

— W takim razie śmieję się ze mnie, śmieję się do woli.

— Dlaczego mam się śmiać?

— Nie wiem. Słyszałem, że mężczyźni są wysmiewani, jeżeli im coś takiego się zdarzy.

— To mi się jeszcze nie zdarzyło.

— Tym większy masz powód do śmiechu.

— Nie — powiedziała Natasza.

— Dlaczego nie odchodzisz?

— Czy mam odejść?

— Nie.

Natasza nie poruszyła się. Oparła się na rękę i przyglądała mi się.

— Czuję się podle — rzekłem.

— Ja nie — odpowiedziała Natasza.

— Jak myślisz, skąd się to bierze?

— Nie wiem. Słowo „najdroższy” wykończyło mnie.

— Myślałam, że schodzą.

— One także. Co innego również. Że ci się nagle zachciało.

— Czy nie powinniśmy odejść? — Spojrzałem na nią beznamiętnie.

— Nie pytaj mnie o to. To wszystko razem.

Był to obładowany dialog, niewygodny, monotony, pozbawiony wyrazu.

— Czy masz łazienkę? — spytała Natasza.

— Nie mam własnej. Ale jest o troje drzwi dalej.

— Wstała bardzo powoli, poprawiła włosy i skierowała się ku drzwiom. Przechodząc obok, otarła się o mnie. Na mnie nie spojrzała. Po prostu dojrzała ciało, oderwała się od ściany, schwytała ją. Chciała się wyrwać. Czulem jej ciało było nagie, młode i ciepłe. I sprężyście jak pszczoła. W jednej chwili wróciło wszystko, co było przedtem. Trzymałam ją mocno.

— Przecież mnie nie chcesz — szepnęła Natasza, odwracając twarz i zginając w łokciach przywarło do ciała ramiona. Wzięłam ją za rękę i zaniosłam na łóżko. Była cięższa niż przypuszczałam.

— Chcę ciebie — rzekłem silnym głosem — chcę ciebie i nie próżaj ciebie, i tylko ciebie, chcę ciebie bardziej niż siebie i w tobie siebie, i wszystko w tobie. — Moja twarz była tuż przy jej twarzy, jej oczy były błyszczyły i nieruchome, czulem jej pierś, i czulem, jak przenikałem w nią, czulem to w karku, rękach i w pleci.

— Wzięła mnie narezanie — syknęła, i nie przymykała oczu — bierz mnie, przyścisnąj, przedzieraj się przede mną na skroś, rozdzieraj na części, tak, tak, tak, zagłębiaj się we mnie, tak, przesywaj mocno, wchodź we mnie, ja wychodzę naprzeciw, zapanuj we mnie, czy to nie zdrój tam szumi, moje uszy są go pełne, ja idę, rozpekam się, deszcz, deszcz szumi i szumi, i szumi... — Jej głos stał się cichszy, przechodził w mrużenie, w pojedyncze, niezrozumiałe wyrazy i szepł, aż zamilkł zupełnie.

Przełożył: ALEKSANDER MATUSZYN

## ERICH MARIA REMARQUE CIENIE W RAJU (FRAGMENTY)

Jaki z czasów Ludwika XV. Komoda była zdobiona złotymi, chińskimi wzorami i miała z brązu nogi. Zapomnia-

— Chętnie — powiedziałem i jałem przy drugim strzebiennym wyjaśniając, że muszę śpieszyć na pogrzeb. Nie było to konieczne. Dziwny nastrój utrzymywał się. Mrs. Whympier obserwowała mnie i zdawała się nie widzieć. Uśmiechała się trochę, a ja nie wiedziałem dokładnie, czy jest rozbawiona, czy nie. Jako stary masochista pomyślałem sobie, że pokijwa ze mnie.

— Nie kazałam jeszcze wypisać czeku — powiedziałam. — Przyjdzie pan przecież któregoś z następnych dni i odbierze sobie.

— Dobrze. Przedtem zadzwonie.

— Może pan przyjdzie bez tego? O godzinie piątej jestem zawsze w domu. I dziękuję panu za przepis z wódką.

Wyszedłem speszony na rozgrzaną ulicę. Miałem uczucie, jakby w jakiś wyrafinowany sposób zrobiono ze mnie durnia, byłem przekonany, że ten ktoś uknuł coś śmieszego i że następnym razem nie będzie inaczej. Jednakże nie byłem tego całkiem pewny. Może tu chodzi o coś innego, ale nie miałem chęci dowiadywać się. W każdym razie nie groziła mi żadne niebezpieczeństwo. Czekał odbierze sobie Silvers sam. Nie zechce mi pozwolić, bym zaglądał do kart.

\* \* \*

— Bez samochodu? — zagadnąłem Nataszę.

— Bez samochodu, bez kierowcy, bez wódkę i bez otuchy. Jest za gorąco. W tym hotelu powinni zainstalować urządzenie klimatyzacyjne.

— Właściciel nigdy tego nie zrobi.

— Na pewno nie, bandyta.

— Mamy lód do Moscov Mules — powiedziałem. — Pivo „Ingwer”, cytryny i wódkę.

Spojrzała na mnie czule.

— Zaopatrzyłeś się w to wszystko?

— We wszystko. Mam już za sobą dwa martini.

— Roześmiała się.

— U Mrs. Whympier?

— Tak. Skąd wiesz?

— Jest z tego znana.

— Z czego? Z jej martini?

— Z jej martini także.

— Jest stara pijaczka. Dziwiłem się, że wszystko poszło tak gładko.

— Zapłaciła już?

— Jeszcze nie. Dlaczego? Czy myślisz, że może oddać obraz z powrotem? — spytałem wystraszony.

— To nie.

— Czy ma tak dużo pieniędzy, że

Mrs. Whympier podniosła się i stała przede mną, miała filigranową postać o niebieskosrebrzystych włosach. Jakis czas rozglądała się dookoła, potem poszła do sąsiedniego pokoju. Wisiał tam obraz olejny jakiegoś mężczyzny, którego pół twarzy stanowił wystający podbródek.

— Mój mąż — oznajmiła talkowała dama w prześcierze. — Zmarł w 1935 r. Zawał serca. Za wiele pracował. Nie miał nigdy czasu. Teraz ma go pod dostatkiem. — Roześmiała się melodyjnie. — Amerykańscy mężczyźni pracują, by umrzeć. Inaczej niż w Europie, prawda?

— Nie w tej chwili. Tam umiera więcej mężczyzn niż w Ameryce.

— Odwróciła się.

— Ma pan na uwadze wojnę? Dajmy już spokój wojnie.

Przeszliśmy przez dwa dalsze pokoje i polem schodami w górę. Na schodach wisiało kilka rysunków Guysa, Renoira i młotek zabrałem ze sobą i szukałem miejsca.

— Może w mojej sypialni — rzuciła



Collage

Andrzej Grun

## SPOTKANIE ENTUZJASTÓW

Przy powszechnych narzekaniach na kryzys teatru i pustki na widowiskach, na niski poziom repertuaru teatralnego i obniżanie się aspiracji artystycznych wielu scen polskich, przy częstym narzekaniu także na upadek teatru telewizyjnego — dziwić może działalność ludzi, którzy mają odwagę nazywać się miłośnikami teatru.

— Skąd bierze się miłość do sztuki teatralnej, skoro ta sztuka przysparza krzykomych powodów do niezadowolonych? — Jaka to siła pędzi ludzi do najrozmaitszych kół i stowarzyszeń pozwalających na zgłębianie tajemnic teatru?

Być może, sympatyków teatru podtrzymują na duchu sady przeciwstawne do przytoczonych wyżej, a głoszące: odkrywczość polskiego dramatu współczesnego; awangardowość polskiego teatru, zwłaszcza w zakresie poszukiwań inscenizacyjnych i scenograficznych; wysoki poziom inscenizacji w teatrze telewizyjnym. W tym miejscu niejeden miłośnik sztuki teatral-

nej odpowie: nie doszliśmy do odkrycia na nowo dramaturgii S. I. Witkiewicza, nie byłby grany powszechnie T. Różewicz, nie cieszyłby się popularnością E. Bryll, gdyby zabrakło owego tła „średniości” czy „przeciętności”, jakie stanowi w większości polski dramat ostatnich kilkunastu lat; nie byłoby tak indywidualnych i tak niepowtarzalnych zjawisk jak teatr J. Gro-towskiego, T. Kantora czy J. Szajny, gdyby w teatrze nie działał święty inżynier inscenizatorzy i znakomici scenografowie, ale także — dobzy rzemieślnicy w zakresie sztuki reżyserskiej i aktorskiej.

Może więc dla tych szczególnych zjawisk warto zostać miłośnikami teatru, a edukację teatralną zaczynać od poznania przedstawień, jakimi teatr rąca nas na co dzień; zaczynać od zjadania poszedniego chleba teatralnego, aby rozmakować się pewnego dnia w światłocinnej torcie. Wśród licznych stowarzyszeń Int-

grujących sympatyków sztuki teatralnej najliczniejszy jest dzisiaj (w roku 1973 obejmował 2.600 zespołów) działający w placówkach kulturalno-oświatowych i organizacjach społecznych — Ogólnopolski Klub Miłośników Teatru Telewizyjnego Powołany w roku 1968 przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, „Tygodnik Kulturalny”, Telewizję Polską i Związek Teatrów Amatorskich — jednocy telewizyjny interesujący się teatrem. Założeniem programowym tego Klubu jest przygotowanie telewizyjny do świadomości i twórczego odbioru widowisk teatralnych. Praca Klubu polega na organizowaniu systematycznych dyskusji nad spektaklami teatru telewizyjnego oraz pogłębianiu ogólnej wiedzy o teatrze. Zespoły jednocześnie pod nazwą Klubu działają na terenie całej Polski. Szczególnie ważną rolę odgrywają w malych ośrodkach miejskich i na wsiach.

Na początku lipca tego roku wyróżnił opiekunkowie, kierownicy i najciekawsze pracownicy zespołów, konsultanci TWP, działacze TKT i wszelkich innych placówek zajmujących się upowszechnianiem kultury teatralnej zebrał się w Warszawie na V Centralnym Seminarium Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Teatru Telewizyjnego.

Takich zapaleńców i entuzjastów sztuki teatralnej, jaicy zjechali do Warszawy spotykać się nieczęsto. Wywodzą się oni z różnych środowisk, nie wszyscy mają wyższe wykształcenie. Najczęściej są nauczycielami języka polskiego, często bi-

bliotekarzami i pracownikami doniów kultury, działaczami placówek wojskowych. Wielu z nich nie ma na co dzień kontaktu z teatrem. „Żywego planu”, dla większości — teatr telewizyjny jest teatrem jedynym przez długie miesiące w roku. Ich zaangażowanie w prowadzeniu klubów miłośników teatru telewizyjnego jest tym bardziej godnie podkreślenia, że jest to działalność społeczna.

Coroczne seminaria popularnonaukowe organizowane dla nich przez TWP i TKT są formą pomocy zgoła niezbędnej. Są bowiem dla wielu członków tego ruchu okazją do poszerzenia wiedzy o sztuce teatralnej, a także — okazją do poznania nowych metod upowszechniania kultury i najnowszych metod prowadzenia dyskusji. Trudno byłoby zrelekcjonować tu obszerny program czterodniowego seminarium. Warto jednak pochwalić organizatorów za dobór wykładowców i dobór tematyczny.

Temat wydoicy: „Teatr Polski Ludowej — twórcy, artystyczny, obywatelski” — podjęto w różnych aspektach. Wykład wprowadzający wygłosił doc. dr Stefan Treugut, dając panoramę zjawisk w zakresie dramatu i teatru w 30-lecie PRL. O osiągnięciach i kierunkach teatru dramatycznego mówił Andrzej Hausbrandt; o teatrze muzycznym w Polsce w latach 1944—1974 mówił Aleksander Bardini; powojenny teatr lalkowy zaprezentowała Krystyna Mazur; na temat Teatru Polskiego Radia wygłosił prelekcję — Zdzisław Nardelli.

W programie znalazł się także wykład Gustawa Holoubka, podejmujący problem aktorstwa w teatrze współczesnym, warsztatu i techniki aktorskiej. Poświęcono również sporo uwagi kulturze mowy i sztuce mówienia w teatrze (referat Krystyna Mazur).

Zalowiąc należy, że nie przysłuchiwał się tym zasarnym sporom o teatr telewizyjny nikt z Komitetu do spraw Radia i Telewizji, że nie uczestniczył w nim nikt z redaktori programowych TV, że nikt z ludzi odpowiedzialnych za repertuar i poziom artystyczny widowisk teatralnych — nie przybył by poznać tych szczególnych odbiorców teatru TV, którzy są jego zadeklarowanymi miłośnikami. Teatr Telewizyjny jest teatrem z wielu względów wyjątkowym. Zaden inny teatr nie w stanie udostępnić widzom tak wielu znakomych aktorów, jak to czyni właśnie teatr TV. I dlatego teatr ten ma swoich zwolenników. Członkom Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Teatru Telewizyjnego wystarczy jednak tylko oglądanie Gęzówką potrzebę bliższego obeocowania ze sztuką teatralną, poznawania jej z różnych stron, dyskusowania o niej i to jest godne podziwu w chwili, gdy powszechnie narzeka się na kryzys teatru i pustki na widowiskach.

URSZULA ASZYK-MILEWSKA

bezmyślnie przez inne czynniki zlikwidowaną), która czasem zaopatruje się aż w Lublinie. Myślę o nabyciu jakiegoś podnoszonego ubranka, w pełni cywilnego, na Bałutach czy na Wodnym Rynku, ale wciąż jeszcze muszę z tym czekać — trudno na coś takiego zgromadzić pieniądze,

Co dzień mówią na śniadanie: Będzie lepszy chleba wypieki! Jeśli puste to gadanie — niechby za nie ktoś się przypieki!

Gazeta to nie urząd i z ukosa patrzymy na tych kolegów, którzy lubią spełniać czas za biurkiem. Liczą się przeciw teksty, wytopione sprawy, umiejętność unikania obiegowych zwrotów i słówek, chociaż w końcu nie wszystkich można się pozbyć, na-

O książce wierszy: wiersze mają (nie mają) świeżość (ci)... i wyrazistość (ci)... żołnierska prostota... klarowność stylu... wydobycie nurtu refleksji... Oczekujemy dalszych prób... A więc „Szpilek”. Do dziś jest dużo ludzi, którzy twierdzą, że ich okres łódzki (1945—47) był najlepszy. Nie wypada mi zabierać głosu w tej sprawie, gdyż i ja wiele w ówczesnych „Szpilekach” drukowałem. Nie wydaje mi się w dodatku, aby to był jedyny

których rezydowała „Kronika” pod redakcją Jana Koprowskiego, obecnie zaś rezydują „Ogłoszy”. W redakcji „Szpilek” przeżyli ludzie wciąż jeszcze umundurowani, choć już bez pistoletów u pasa — St. Jerzy Lec, Leon Pasternak, Jerzy Zaruba. Z cywilów do ścisłego zespołu należał tylko Zbigniew Mitzner. Przyjmowano od 11 do 13, ale dotyczyło to przypadkowych interesantów, na pogawędkę można było przyjść znacznie wcześniej.

Troską redaktorów był przede wszystkim pomysł dla rysunku na pierwszą stronę. Inspirowano się kolektywnie, w pewnym okresie autor zaakceptowanego pomysłu otrzymywał w nagrodę butelkę wódki... Oczywiście, do wypróbowania jej ze wszystkimi przy kawie. Potem zastanawiano się nad „wierszem otwartym” na drugą stronę u góry i nad felietonem u dołu pod kreską. Resztę numeru wypełniały wyselekcjonowane rysunki, wiersze, humoreski, drobiazgi. W czasie pogaduszek szczerze nie szczędzono sobie ani pochwał, ani zwłazcza wymyślań, często dosadnych. Jedynie Mitzner przeźornie milczał, Zaruba zaś do wszystkiego — jako „stary bywalec” — odnosił się doświadczeniście. Nie było tu nic z koterii, cieszący się tekstem czy rysunkiem, którego dostarczył ktoś nie znany, nowy, i nigdy nie było — „załatw sprawę i żegnaj”.

Zaakceptowany rysunek czy felie-

tn. nazwiska autorów i rysowników — była to gęsto zadrukowana petytem półowa dość dużej strony, można by z niej dziesiątkami wybierać nazwiska do dziś liczące się, znane czytającym.

Ten numer wypadła nazwać „towarzystwem” — zamieszczono w nim żartobliwie ujęte życiorysy wybitniejszych współpracowników. Poza tym — ludzie pióra wystąpili z rysunkami (jeden mój rysunek, jaki w życiu popełniłem), ludzie piórka, maczanego w tuszu, zaprezentowali swoje teksty. Trzeba bezstronnie stwierdzić, że rysownicy lepiej umieli pisać, niż pisarze rysować. W tym tylko wypadku — bowiem w tradycji literackiej wiele było ludzi, którym nieźle służyły obie te umiejętności.

Dwie kolumny poświęcono rysunkom i tekstom autorów, którzy tragicznie zmarli, zostali zamordowani w czasie okupacji.

W numerze ogłoszono menu z bankietu „Szpilek”.

- Huszcza po litewsku
- Ważyk z pasternakiem na gorąco
- Lec smażony z kartofelkami
- Eile zapiekane w cieście
- Wilz puree
- Zaruba w szarym sosie
- Grus po ministrsku z jarzynkami
- Kuryluk z kluszciami po węgiersku
- Padwa pieczona z borówkami
- Brzechwa w śmietanie
- Przybós duszony
- Harris z fasztu
- Ha-Ga faszerowana po żydowsku
- Lenica z buraczkami
- Cieloch po prowansalsku
- Sandauer w majonezie z grochem i kapustą
- Hertz na dziko

Na wszelki wypadek muszę załączyć do menu parę odsyłaczy. Marian Eile to przecież założyciel i długoletni redaktor „Przekroju” (czy ten odsyłacz jest potrzebny?), Albert Harris to autor nieraz przypominanego przeboju z lat pierwszych: „Piosenki o mojej Warszawie”. Wanda Padwa, cel ataków personalnych Minkiewicza — chodziło o kalamburów skojarzenie z parwą z rodziny głuszców. Stanisław Cieloch to tragicznie zmarły, utalentowany rysownik z Równego Wołyńskiego.

W rzeczywistości zamiast bankietu była skromna popijawa — ze skromną zagryką. W dość szerokim gronie. Wielu z ludzi wymienionych i nie wymienionych (jak wszystkich uwzględnić — zresztą mają oni swoje miejsce na stronach różnych publikacji) przeszło w różnych latach między cienie. Coraz częściej próbuję ich przywołać z nimi rozmawiać ale milczą. Mają na wyciągu czarne krzyżyki. Cóż? „Bład wiek człowieczy!”

IAN HUSZCZA

# PRZY PIOTRKOWSKIEJ 96

(DZIENNIKARKA II)

mimo iż ma się pensję, do której dochodzą honoraria. Zresztą, w tych czasach mało kto przejmował się swoim wyglądem zewnętrznym, aczkolwiek zdarzali się firycykwie i firycycki.

Z chwilą przyjazdu „Rzeczpospolitej” zawiąza się „Dziennik Łódzki”, którego pierwszy numer pod redakcją Anatola Mikulki, przy udziale Łódzian: Wacława Czynczyśa, Jerzego Ubysza i in. ukazał się 1 lutego 1945 roku. Oczywiście z „Modlitwą” Tuwima na pierwszej stronie obok zwycięskich komunikatów wojennych.

Znowu więc jesteśmy razem, a nawet nas przybyło, nie mogą nacieszyć się paroma przedwojennymi znajomymi. Zajmujemy po „Dzienniku” trzecie piętro, na czwartym rezyduje Zarząd „Czytelnika” z Borejszą, tam też odbywają się, jeśli szef jest w mieście, krótkie konferencje redakcyjne, na których ustala się temat i autora artykułów wstępnych. Resztę szczegółów ustalamy w pobliskiej kawiarni obok kina „Wisła”.

W marcu „Rzeczpospolita” zaczyna drukować powieść Poli Gojawiczyńskiej — „Krate”. Na początku lipca (chyba tak?) „Rzeczpospolita” przenosi się do straszliwie wyglądającej Warszawy. Wbrew namowom, zostaje w Łodzi, zaczynamy z Mikulką „profilować” wznowiony „Dziennik Łódzki”. To już redakcja we wszystko wyposażona, nawet w biuletyn „Polpressu”, ale zostało przyzwyczajenie: najważniejsze sprawy omawia się w szczupłym gronie w kawiarni.

Oprócz literatury, uwzględnialiśmy humor i satyrę. Robiłem kolumnę „Śle-Dziennik Łódzki”. Zawiodł natomiast pomysł codziennej frazki, choć bywał w prasie praktykowany. Mimo, że frazki te pisał różni autorzy, rzadko należały do udanych. Jedną z nich muszę jednak przytoczyć gdyż mało straciła na aktualności. Tytuł: „Chleba powszedniego”. Treść: Chleba przydaliśmy ciągle pozostawia wiele do życzenia...

wet gdy się ma świadomość ich natręctwa, nijakości. Przecież w jakimś stopniu i dla siebie sparafrazowałem w „Szpilekach” Adolfa Nowaczyńskiego „Małego Prokescha” z krakowsko-galicyskiego „Liberum veto”. Napisałem „Krótki zarys praktyki dziennikarskiej”, który — jak ze wszystkich jako czytelnik oraz odbiorca środków masowego przekazu wnioskuję — nigdy nie był włączony do obowiązkowych lektur adepta sztuki dziennikarskiej. Może ktoś odświeży ten zarys, aktualizując przykłady? ... Najlepsze tytuły artykułów: Akt historycznej wagi, Sens walki, Czy tędy roga, W zwartych szeregiach, Istota demokracji, Istota aprowizacji, Sytuacja nauczycielstwa, Nieświadomość czy co innego, Młodzież w wyścigu pracy...

Artykuły piszemy, ułatwiając sobie pracę za pomocą tzw. stereotypów. Podajemy je w formie pytań i odpowiedzi. Na czym rzecz polega? Na tym, aby słowa zamienić w czyn. Co przyjmuje całe społeczeństwo? Całe społeczeństwo przyjmuje z uznaniem i satysfakcją do wiadomości fakty (wymienić jakie). Co musi towarzyszyć ogromowi tych prac? Powszechne zaufanie oraz poczucie odpowiedzialności wobec prawa i historii.

Co robimy z ręką? Trzymamy ją na pulsie wydarczeń. Co należy stworzyć? Szeroką sieć (kontrolerów, mleczarni, szkół).

Sprawozdania z uroczystości Akademii Staraniem... została zorganizowana... pod protektoratem... przy udziale... Zgromadzona publiczność z zapartym oddechem wysłuchała (przemówienia, deklamacji, oświadczenia).

Recenzje. O wieczorze wokalnym. Utalentowana piosenka... tchnęła na widownię urok... duża skala możliwości... wzruszenie widowni i żywiołowe oklaski. Impreza ta zainteresuje niewątpliwie szerokie sfery społeczeństwa.

dobry okres tego pisma z dużą tradycją. Jedno natomiast jest chyba pewne: w obecnych „Szpilekach” rzadko pojawia się satyra, która jest przecież w różnych swoich odmianach — prosto częścią literatury. Przeważa w nich taniutki podśmies, kreski-makabreski, drwinka-kpinka, chichocik.



Od prawej: Jerzy Zaruba, Janusz Minkiewicz, Leon Pasternak, Jan Brzechwa, Stanisław Jerzy Lec i Jan Huszcza.

Zapomniano o tym, że satyra to nie tylko dowcip, ale także gniewny patos, sztywność, jatrząca ironia, filozoficzna powiastka, wiersz z pogranicza liryki i żartu.

No i w imaginacji przejdźmy do prawego skrzydła gmachu przy Piotrkowskiej 96, również na trzecie piętro, dosłownie do pokoiów, w

ton można było po dwóch-trzech dniach ująć w piśmie, co dziś wygląda na zjawisko o naturze raczej metafizycznej.

Z datą 19. III. 46 wyszedł w znacznie zwiększonej objętości numer jubileuszowy, poświęcony dziesięcioleciu pisma, które przecież zaczęło ukazywać się w 1935 roku. Przynosił m.

Mam w ręku niewielką książkę, opracowaną przez B. Kaisera i I. Werchana, zatytułowaną: „Ex libris Karl Marx und Friedrich Engels”, wydana przez Instytut Marksizmu — Leninizmu w Berlinie w 1967 r. Przynosi ona rekonstrukcję katalogów księgozbiorów K. Marksa i F. Engelsa, opartą o dawny spis, sporządzony w 1850 r. przez R. Daniela i zachowane po dziś dzień egzemplarze książek. Rekonstrukcja ta nie mogła być pełna, nie objęła też wielu książek, o których skądinąd wiadomo, że znajdowały się czy to w posiadaniu K. Marksa, czy F. Engelsa. Nie ma tu na przykład słynnego dzieła H. Kollataja i I. Potockiego „O ustanowieniu i upadku konstytucji polskiej 3 maja 1791”, które K. Marks posiadał w niemieckim współczesnym tłumaczeniu, S. B. Lindego, zaś F. Engels nabył antykwarycznie pod koniec 1882 r.

Spis nie mógł objąć tych książek, które niejednokrotnie stanowiły podstawowy warsztat pracy badawczej K. Marksa, ale nie były jego własnością: uczyony korzystał wszak ze zbiorów British Museum. Niemniej zrekonstruowany przez niemieckich badaczy katalog przynosi wiele ważnych informacji w tym również dotyczących zainteresowań K. Marksa i F. Engelsa problematyką polską, przede wszystkim zagadnieniami społeczno-politycznymi i historycznymi.

Jakie książki i broszury, dotyczący spraw polskich, niekoniecznie zresztą polskich autorów, znajdowały się w posiadaniu K. Marksa i F. Engelsa?

Jest ich wcale sporo. K. Marks pozakreślał ółwkiem niektóre karty broszury M. Bakunina, wydanej po francusku w Genewie w 1868 r.,

po francusku w 1844 r. dwutomową „Historię Polski” J. Lelewela. K. Marks jak wiadomo poczynił z niej obszernie notatki, F. Engels zaś posiadał w swym prywatnym księgozbiore i dokładnie przeczytał, jak zaświadcza o tym jego własnoręczne ółwkowe podkreślenia, rozrzucone po obu tomach dzieła.

Adres emigrantów polskich do ludu angielskiego, ogłoszony po angielsku w 1874 r. przez W. Wróblewskiego i J. Kryńskiego, na który zresztą wielki myśliciel powołał się w jednej ze swych publikacji z 1874 r. Spis księgozbioru K. Marksa z 1850 r. przynosi jeszcze kilka innych

opatrył licznymi glossami, dwutomowa „Teoria bogactwa społecznego” Fr. Skarbka, wydana po francusku w 1829 r., rozprawa L. Wołowskiego z 1838 r., ekonomiczna praca A. Cieszkowskiego, ogłoszona w Paryżu w 1844 r.

Mimo że informacji tych nie jest zbyt wiele, że nie stanowią one takiej rewelacji, jak np. ogłoszone niedawno u nas K. Marksa „Przyczynki do historii kwestii polskiej”, przecież rozszerzają one zakres naszej wiedzy o zainteresowaniach twórców naukowego socjalizmu sprawami naszego kraju. Dostarczają dodatkowych argumentów wskazujących na to, że zarówno K. Marks jak F. Engels żywo interesowali się polską myślą demokratyczną, wysoko cenili jej czołowych przedstawicieli, w szczególności J. Lelewela i L. Mierosławskiego. Nowe szczegóły, dostarczone przez rekonstrukcję księgozbiorów K. Marksa i F. Engelsa, chociaż nie zmieniają w istotny sposób ogólnego obrazu zainteresowań twórców marksizmu zagadnieniami polskimi, dostrzegają przecież do niego nowe elementy, a to jest już wystarczająco wiele, aby zwrócić na nie baczną uwagę.

pt.: „Ostatnie słowo p. Ludwika Mierosławskiego”. Własnością F. Engelsa była wydana po angielsku „Czarna księga Rosji”, zawierająca m. in. wyciąg z pracy W. Czapliewskiego „Historia rządów moskiewskich na Litwie” (1869). Otrzymał on ją, jak o tym świadczy dedykacja, w darze od W. Wróblewskiego. Tekst dedykacji też jest interesujący:

„To the (słowo nieczytelne) Frideryk Engels Esq. with W. Wróblewski compliments”.

Wreszcie rzecz bodaj jeszcze ciekawsza: otóż okazało się, że nie tylko K. Marks, ale również F. Engels interesował się słynną, wydaną

Z księgozbioru K. Marksa pochodzi broszura L. Mierosławskiego o procesie z 1847 r., wykorzystywana zresztą przez niego w jego pracach. F. Engels posiadał zaś na własność tegoż autora „Historię gminy polskiej od X do XVIII w.”, w wydaniu francuskim z 1856 r. Z biblioteki K. Marksa pochodzi wreszcie egzemplarz dwóch pierwszych tomów z trytomowej angielskiej „Historii Polski”, pióra J. B. Ostrowskiego. Liczne podkreślenia oraz wypisane na marginesach daty świadczą, że pracy tej poświęcił wiele uwagi; wykorzystywał ją zresztą w jednym ze swych artykułów, drukowanych w połowie 1853 r. w bibliotece F. En-

pozycji: rzecz M. Bakunina, poświęconą rocznicy powstania listopadowego (1847), L. Mierosławskiego pracę o rewolucji i kontrrewolucji w Polsce (1848), nie znaną bliżej broszurę o wypadkach galicyjskich z 1846 r. Ponadto w zrekonstruowanym katalogu znalazło się kilka dzieł autorów polskich, choć nie dotyczących bezpośrednio spraw polskich. Były to znajdujące się w posiadaniu K. Marksa dzieła socjologiczne i ekonomiczne takie jak: L. Gumplowicza „Państwo prawne i socjalizm” (1881), które K. Marks

## EX LIBRIS K. MARKSA i F. ENGELSA

LEKTOR

# ROŚLA W SIĘ

Dalszy ciąg ze str. 3

widowoci w polityce rolnej powodujące atmosferę niezadowolenia wśród chłopów, u wielu ludzi zainteresowanych rozwojem demokracji życia społecznego budziły niepokój, wpływały także w sposób bezpośredni na rozwój organizacji partyjnych. Ich działalność wewnętrzna i zasięg oddziaływania na najbliższe środowisko. Wywoływały także nieufność do społecznych i gospodarczych posunięć partii i rządu, stawały się bezpośrednią przyczyną powstawania rozdziewięciu między społeczeństwem a partią. Zjawiska te skwapliwie wykorzystywały w swej działalności opozycyjnej siły reakcji i wstecnictwa społecznego. Jednostki i grupy społeczne, negatywnie ustosunkowane do zachodzących przemian socjalistycznych w kraju, wyolbrzymiały nie zawsze słuszne w ówczesnej sytuacji posunięcia partii i rządu. Wszystkie ujemne zjawiska w życiu politycznym i każdej trudności ekonomicznej wynikającej z przyczyn subiektywnych lub obiektywnych podniosły do rangi problemu jako niedużość w sprawowaniu władzy przez klasę robotniczą i ludzi pracy.

Dla dopełnienia obrazu należałoby dodać, że podziemie zbrojne, które w województwie łódzkim zostało w zasadzie zlikwidowane już wcześniej, istniało jeszcze w swej szczytkowej postaci w niektórych powiatach (Piotrkowskie, Sieradzkie, Wieluńskie i Radomszczańskie). Część ludzi związanych z reakcyjnym zbrojnym podziemiem prowadziła nadal wrogą działalność przeciwko władzy ludowej. W 1940 roku w województwie łódzkim zgineło jeszcze z rąk reakcyjnych kilkunastu działaczy społeczno-politycznych — członków PZPR, ZMP, ORMO, funkcjonariuszy MO i SB oraz żołnierzy.

Mimo zjawisk ujemnych, które utrudniały działalność PZPR w województwie łódzkim, w życiu społeczno-politycznym partii obserwowano stały rozwój. Przemiany dokonywane w kraju, sukcesy nawet najdrobniejsze w środowisku własnym pobudzały organizacje partyjne do działania, wyzwały wśród członków i społeczeństwa bezpartyjnego entuzjazm, były czynnikiem mobilizującym ludzi pracy miast i wsi do ofiarności społecznej i przedterminowego wykonywania zadań produkcyjnych.

Bezpośrednie wpływy PZPR na rozwój życia społeczno-politycznego nie były jednakowe we wszystkich grupach społecznych Ziemi Łódzkiej. Kształtowały się one w sposób różny w poszczególnych powiatach. Zdecydowanie przeważały w regionach o stosunkowo dużym uprzemysłowieniu, proporcjonalnie mniejsze były w powiatach o przewadze produkcji rolnej i ludności wiejskiej.

1 maja 1949 r. na ogólną liczbę 1.799.981 mieszkańców województwa łódzkiego było 56.068 członków i kandydatów partii, co stanowiło 3,1 proc. ogółu mieszkańców. Najniższy procent członków partii notowano w powiatach: wieluńskim — 1,3 proc., opoczyńskim — 2,0 proc., łowickim — 2,2 proc., łaskim — 2,7 proc., sieradzkim — 2,6 proc. Na 3.899 gromad tylko w 1022 były organizacje partyjne zrzeszające zaledwie około 9 tys. chłopów. Znaczne różnice występowały także w stopniu upartyjnięcia mieszkańców miast wydzielonych. W Zgierzku np. członkowie partii stanowili 14,8 proc. ogółu mieszkańców, w Ozorkowie — 9,2 proc.

10 lipca 1949 r. obradowała I Wojewódzka Konferencja PZPR z udziałem członka Biura Politycznego KC, Franciszka Józwiaka — Witolda, członka Biura Organizacyjnego KC Zenona Nowaka i Antoniego Alstera oraz członka Biura Organizacyjnego KC i sekretarza KL PZPR w Łodzi — Władysława Dworakowskiego. W Konferencji brało udział 351 delegatów wśród których było: 86 robotników, 25 chłopów i robotników rolnych oraz 204 pracowników aparatu społeczno-politycznego i gospodarczego.

Konferencja dokonała oceny działalności wojewódzkiej organizacji partyjnej od Kongresu Zjednoczeniowego. Pozytywnie oceniono proces scalania wszystkich ogniw partyjnych i działalność podstawowych organizacji partyjnych w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym województwa, w szczególności w dziedzinie umacniania sojuszu robotniczo-chłopskiego i realizacji uchwał Kongresu Zjednoczeniowego w sprawie wcześniejszego wykonania planu 3-letniego.

Konferencja zwróciła także uwagę na niektóre niedociągnięcia w pracy organizacji partyjnych w zakładach przemysłowych w dziedzinie podnoszenia jakości produkcji, rozwoju ruchu racjonalizatorskiego i współzawodnictwa pracy. Wskazano także na niedostateczną pracę organizacji partyjnych z bezpartyjnymi i organizacjami społecznymi, zwłaszcza związkami zawodowymi, które skupiały w skali województwa około 149.965 członków, w tym ponad 41 tysięcy kobiet. Wskazano też na słabą pracę w dziedzinie pracowników aparatu Komitetu Wojewódzkiego z terenowymi ogniwami partii.

Konferencja wybrała Egzekutywę KW w składzie 13 osób. Zgodnie z ówczesną strukturą organizacyjną, sekretarzem dla Łodzi i województwa został wybrany Władysław Dworakowski, i sekretarzem dla województwa — Grzegorz Wojciechowski.

STEFAN FIJALKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Dzieci jest mało, toteż nie istniała potrzeba organizowania dzieciństwa.

— Czekamy teraz na słońce — mówi R. Snieg — i martwimy się, że... zboża mamy dorodne, nazbyt wyrosnięte. Mogą wylegnąć i na nic zda się cały trud z przygotowaniem maszyn.

Na Ziemi Piotrkowskiej, pod Górnym, spotkałem pasącego krowy w przydrożnym rowie starego gospodarza, Jana Pyrkę.

— Pada — mówi. — A pada, panie, Bóg już nie ma litości chyba, żeby tak ludzi karać.

— Ile pan ma lat?

RYSZARD BINKOWSKI

# TRUDNE ŻNIWA

— Siedemdziesiąt trzy — mówi — i jakby na dowód tego odsłania nieco kaptur gumowego płaszczu, spod którego wysypują się białe, zmocone przez deszcz włosy.

— Pamięta pan takie żniwa?

— Nie pamiętam. U nas bywało, żeśmy wychodzili z kosą nawet na początku lipca. A teraz wszystko się pokreśliło, ani zimy nie ma, ani lata.

Ciężko będzie, jak tak dalej pójdzie...

— Może da się radę nadgonić czas maszynami?

— Panie, w takich warunkach najcenniejszą będzie kosa! Zobaczy pan, jak się wszyscy zaczęli przeproszać z tą wysniana kosą. I we wsi, i w pęgerach, wszędzie.

— A co teraz będzie robić?

— Teraz to się wszyscy modlą, jakby chociaż trochę siana uratować, żeby nie zgineło do cna. A tak, to widzi pan sam. Ja na ten przykład mógłbym pomóc przy stawianiu mendelków, bo do kosi już nie stanę, ale muszę krowy pasć. Wyjdzie który do chwastów, chwyci za radio, żeby coś zrobić w kartoflach, i to wszystko.

Jadę przez Belchatowskie, wszędzie pustki, znikomy ruch na drogach, czasem tylko pojawi się nowy, ciężki łakierem ciągnik, co jest oznaką pogotowia żniwnego, ale reszta maszyn stoi pod brezentem w bazyh kółkowych. W samym mieście mówią, że tylko budowniczo kopalni, chociaż im też deszcz przeszkadza, nie mają specjalnych powodów do niezadowolenia, w tym okresie powinni kłać na masowe urlopy, bo wielu zatrudnionych jest ze wsi, ale nie się nie dzieje, bo jeszcze nie czas.

W Radomszczańskim złapała nas tak silna, prawie godzinna ulewa, że samochód musiał stanąć na poboczu. Dotąd widziałem nad drogą niebezpiecznie zwisające, ciągnące ku ziemi, nabrzmiałe wilgotnym żniwnym kłos; po ulewie powstały już gniazda wylegniętego zboża.

— Rolnicy nie szafują aż tak nawoziem — informuje mnie przypadkowy rozmówca — i zboża nie są za bardzo wyrośnięte. Po co, proszę pana, szerzyć panikę? Z tym wyleganiem to jest tak, jak z dzweczyną.

— Nigdy nie wiadomo, jak...

— Właśnie! Zboże stoi, stoi, aż przyjdzie ulewa, z wichurą i się połoczy. Na to nie ma ratunku, nikt temu nie prze-

szkodzi, i zawsze trzeba się z czymś takim liczyć.

To by się zgadzało, bo na przykład w gminie Uniejów, pow. poddębicki, przygotowani są na wszystko. Do sprzątnięcia jest ponad 4300 hektarów zboż. snopowiązałek jest mało i gdyby nawet jedna skosiła 40 ha, to dałoby w sumie czwartą część areali. Trzeba się więc brać za kosi, ale nie tylko ze względu na brak maszyn, lecz i wskutek tego, że nadmierne opady, burze i wichury sprawiły, iż część zbóż jest tak stargana, że snopowiązałka będzie trudno kosić. Naczelnik gminy, B. Wojciechowski, zapewnia, że w Uniejowie, nie dopuszcza, aby najmniej-

ko 13 ton. Udało nam się natemiasz doprowadzić do tego, że od miesiąca sieć handlowa przestawiła się na akcję żniwną, według życzeń rolników w danej wsi, tak, że w wielu sklepach prowadzi się handel od godz. 6 do 21, a piekarnie będą pracować całą dobę.

Po drodze spenetrowałem kilka sklepów i stwierdziłem, że zaopatrzenie w napoje jest bardzo dobre, gorzej natomiast przedstawia się sprawa żywności. Kiedy pod jednym ze sklepów w Sieradzkim wdałem się w rozmowę na temat żniw z młodym rolnikiem, ten powiedział:

— Podczas tych trzech dni jakiej takiej pogody zaczęto sprząć rzepak. Ziarno jest nierównomiernie dojrziałe, wilgotne, i trzeba by będzie szufiować. GS ma nam ułatwić robotę i zabierać ziarno własnym transportem, ale to chyba dopiero w sierpniu, bo dzisiaj znowu leje. W dodatku, proszę pana, stonka się rozpanoszyła i nie ma na nią sposobu, bo traktorem z opryskiwaczem nie wiejdzie się na rozniekle pole. A jeśli idzie o sklep, to napój jest od cholery, bo nikt nie pije. Z żywnością normalnie.

GS zgromadziły odpowiednie zapasy, m. in. konserw, które pójdą do sklepów z chwilą rozpoczęcia żniw i mięsa starczy dla wszystkich.

Wróćmy jednak do żniw. W województwie jest do zebrania 590 tysięcy

sza chociaż działka zboża uległa zniszczeniu na skutek niesprzątnięcia w terminie. Właściciele kosiarek, koni, snopowiązałek poradzą sobie ze sprzętem sami, natomiast tym, którzy sami nie potrafią dokonać zbioru, muszą pomóc inni, głównie kółka rolnicze i spółdzielnie. Dlatego też instruktorzy służby rolnej zachęcają rolników, posiadaczy snopowiązałek traktorowych i konnych do świadczenia odpłatnych usług sąsiadom.

W żniwa ludzie bardzo się denerwują — słyszałem w jednej wsi wieluńskiej — bo zawsze są jakiśs zgrzyty. O maszyny idzie, że nie przydzieli się według kolejności, a każdy by chciał być pierwszy. Raz, to było w zeszłym roku, przyszedł do kółka facet z pretensjami, dlaczego u takiej a takiej kobiety, samotnej wdowy, nie sprząta się maszyna, a u innych można. Wie pan, kto to był? Dyrektor z miasta, synek tej wdowy. Panie, czterech ich przyjechało do matki, wszystko „urzędniaki” niewyrobowane, a do kosi żaden się nie wziął!

Sekretarz do spraw rolnych KP PZPR w Pajęcznie, tow. Brach, mówi, że u nich do takich wypadków nie będzie się dopuszczać.

— Nie chcemy u siebie zbytniej nerwowości. Maszyny pójdą pracować tam, gdzie jest to najpilniejsze. Musimy tego szczególnie przestrzegać w tegorocznych żniwach, bo roboty się nie strząż. Wprawdzie okres zaplania nie był odpowiedni i trafiają się przetrzały, tzn. puste kłosy, ale ogólnie plony będą wysokie, w granicach 23-24 kwintale z hektara. Ziarno jest dobre i gdyby się pogoda utrzymała taka, jak wczoraj, żniwa mogłyby ruszyć pod koniec lipca. No, ale widzicie, dzisiaj znowu leje i sprzęt prawdopodobnie rozpocznie się w pierwszych dniach sierpnia.

Mimo to trwa stan pogotowia, zabezpieczyliśmy już teraz 6 kombajnów i 180 snopowiązałek. Wysłaliśmy do zakładów pracy pisma z prośbą o delegowanie na wieś wszystkich zatrudnionych, którzy posiadają ciągnikowe prawo jazdy i mogą pracować w kółkach rolniczych. Zapewniliśmy dzieciom opiekę w 38 dziecinicach oraz pomoc ludźmi starszym. Gorzej z zaopatrzeniem mamy bowiem przydzielili 23 ton wyrobów mięsnych, ale zakłady mięsne nawałają i dotychczas uzyskaliśmy tyl-



Fot. Archiwum

## OD POCHODU NA WSCHÓD - DO UCIECZKI NA ZACHÓD (III)

# ZBRODNICARZE NAD MAPĄ EUROPY

**W** 1942 roku sytuacja przypominała wyścig, którego najwyższą stawką był czas. Anglia była za słaba do samodzielnych działań i liczyła na amerykańską pomoc. Stalin

czekał nie tylko na dostawy techniczne, ale również na realne posunięcia, jakim mogło być utworzenie drugiego frontu. A ponieważ sojusznice państwa zachodnie zwlekąły z inwa-

zją (mieważne z jakich motywów) mieliśmy szansę na rozmowy. Wojskowa potęga Niemiec w tym czasie pozwalala na zajęcie w przetargach dostatecznie twardej pozycji.

Zamysł ten postanowiłem zasugerować Himmlerowi. W początku września 1942 roku udałem się do jego rezydencji w Żytomierzu, usytuowanej w pobliżu kwatery Hitlera w Winnicy, w celu złożenia okresowego raportu Himmlerowi zarekwirował dla siebie i swego sztabu budynki rosyjskiej akademii wojskowej, położone w przepięknym miejscu. W ciągu dwóch dni pomieszczenia te zostały

przekształcone w doskonale wyposażony punkt dowodzenia. Krótkofalowe stacje radiowe i linie telefoniczne szybko i niezawodnie łączyły Reichsführera ze wszystkimi, nawet najbardziej oddalonymi punktami tego ogromnego terytorium okupowanego przez Niemców. Przewidziano także wszystko, by zapewnić mu komfort i rozrywkę (włącznie z kortem tenisowym). Codziennie ogromny opancerzony samochód odwoził go do Winnicy, gdzie spędzał kilka godzin z Hitlerem.

Przejeżdżając postanowieniem przedstawienia moich propozycji, wszedłem do gabinetu Himmlera. Reichsführer SS, widząc mój poważny i zakłopotany wyraz twarzy, spytał mnie o zdrowie. Podziękowałem mu za troskliwość i powiedziałem:

— Chciałbym panu przedstawić pewien problem, który wymaga podjęcia niezwykle trudnej decyzji!

Następnie, patrząc w oczy Himmlerowi, mówiłem dalej:

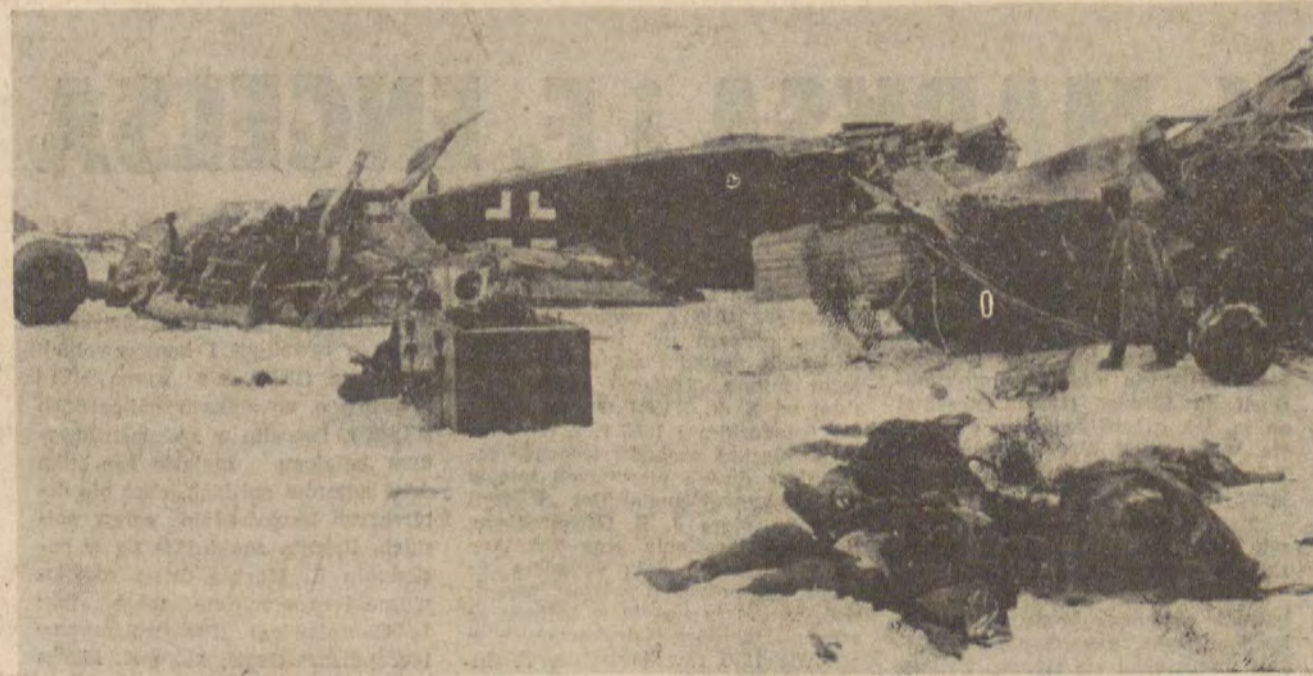
Ośmielam się zadać panu pytanie: w jakiej szufladzie biurka chowa pan „alternatywną decyzję” dotyczącą zakończenia tej wojny?

Nastąpiła długa pauza. Zdumiony Himmler patrzył na mnie w milczeniu. Oczywiście dotarł do niego sens mego pytania. Stopniowo przychodził do siebie. Wreszcie przemówił. Początkowo w tonie spokojnym, podnosząc stopniowo głos aż do wrasku:

— Czy pan zwariował?! Pan za dużo pracuje! Chce pan miesięczny urlop? Pan dostał pomieszenia zmyślone! Jak pan ośmiela się przybliżyć do mnie z czymś podobnym?!

Stałem bez słowa oczekując końca wybuchu. Następnie powiedziałem:

— Wiedziałem, że taka właśnie będzie pańska reakcja. Prawdę mówiąc spodziewałem się czegoś gorszego. Chciałbym jednak zwrócić pańską uwagę na fakt, że tak wielki człowiek jak Bismarck, będąc u szczytu swej potęgi zawsze miał w pogotowiu inne rozwiązanie, rozwiązanie, do którego można się uciec dopóki istnieje swo-



Fot. Archiwum

Dalszy ciąg na str. 12



Fot. Archiwum

## Dalszy ciąg ze str. 1

Było nam przyjemnie i wdzięczni byliśmy gospodarzom, że mimo tylu obowiązków znaleźli czas, aby umożliwić nam uczestnictwo w zmaganiach naszej drużyny narodowej o srebrny medal w Mistrzostwach Świata. A przecież z Koehwalde trwało wielki, 20 PRESSEFEST — doroczne święto „Freie Presse”.

### I.

„Freie Presse” jest gazeta okręgowa. W podtytule ma napis: „ORGAN DER BEZIRKSLEITUNG KARL-MARX-STADT DER SOZIALISTISCHEN EINHEITSPARTEI DEUTSCHLANDS”. Wychodzi w dużym nakładzie, rozchodzącym się przede wszystkim za pośrednictwem prenumeraty, posiada liczne mutacje.

Dwadzieścia lat temu gazeta SED zorganizowała pierwsze swoje święto i tak już jest, że co roku w lipcu na festynach w Karl-Marx-Stadt i Zwickau spotykają się mieszkańcy tych miast i czytelnicy gazety zarazem. Są to dwa większe miasta okręgu Karl-Marx-Stadt i nie dziwnego, że program artystyczny święta jest powtarzany w tej samej wersji w obu miastach.

„PRESSEFEST” — jak tu się w skrócie nazywa święto gazety partyjnej — organizowane jest z ogromnym rozmachem. Ten, w którym uczestniczyłem, jubileuszowy, bo 20, zaczął się już w piątek, właśnie w Koehwalde, wielkim parku na wzgórzu, który ma przekształcić się w park kultury i wypoczynku.

W inauguracyjnym koncercie wystąpił Centralny Zespół Artystyczny Armii Radzieckiej stacjonującej w NRD. Tłumnie zebranych mieszkańców Karl-Marx-Stadt powitał redaktor naczelny — czyli jak to się tam mówi Chefredakteur der „Freie Presse”, Genosse Dietmar Griesheimer, nawiązując nie tylko do 20 już lat święta gazety, ale i 25 rocznicy powstania NRD. W inauguracyjnym koncercie występowali też artyści zagraniczni: z CSRS, Rumunii i Polski. Polskę reprezentował Daniel.

Festyn w Koehwalde trwał trzy dni. I choć pogoda nie dopisała, to ludzi było sporo, ale — jak utrzymywali gospodarze — o połowę mniej niż zwykle, kiedy pogoda jest ładna i tak uparcie nie pada deszcz. Deszcz padał rzeczywiście uparcie, z małym tylko przerwami. Koehwald leży na niewielkim pagórku o gliniastym podłożu. Ziemia więc szybko rozmiękła i ludzie telepalili się w bloku, ale to im nie przeszkadzało. Obchodzili wytwale stoiska, grali w kręgle, strzelali w licznych sportowych strzelnicach, rozrzucali szmacianymi piłeczkami piramidki puszek po fasolce szparagowej, zarzucali wiklinowe kółeczka na fanty ustawione na drewnianych kwadracikach lub usiłowali wrzucać pingpongowe piłeczki do lejków przymocowanych do różnych fantów. Dzieci jeździły prawdziwą kolejką, z miniaturowym „parowozikiem”, z dziecięcą obsługą. Dorosli penetrowali liczne stoiska otwarte

przez handlowców na te trzy dni. No i były różna ze smakowicie pachnącymi kurczakami i parówką z musztardą i piwem.

Trzech młodych Polaków zawzięcie rozrzucalo piramidki z puszek. Pierwsza poszła im łatwo, zabrali się do drugiej.

— Trzy piramidki, to butelka piwa — mówił chudy blondyn do małego czarnego z kędzierzawymi włosami. — Wal teraz do trzeciej.

Poszło im dobrze, a że w miarę jedzenia rośnie apetyt, więc po chwili słyszałem, jak podejmowali nowe zobowiązanie sądząc, że nikt ich wokoło nie rozumie.

— Sześć piramidek, to butelka wina, gramy o wino.

A obok w „kręgu szczęścia” młode małżeństwo niemieckie rzucało wiklinowymi kółkami. Ona miała już w siatce puszkę parówek i butelkę soku. On wyciągał kolejną markę, aby spróbować szczęścia na butelce z winem. Spróbował i udało się, więc butelka rydzina powędrowała do jej siatki, a uprzejmy właściciel „kręgu szczęścia” dzwonem obwieścił to — jak zresztą każde inne — zwycięstwo i wszystkim pokazał wygraną fant.

— Gram o następne — postanowił młody małżonek.

— Daj spokój, już nie wygrasz — hamowała jego zapał małżonka.

Zagrał o butelkę szampana. Rzuty były niecelne. Zmienił cel i... wygrał znów butelkę soku. Właściciel zaczął patrzeć z obawą, czy młody sięgnie znów po pieniądze. Ale nie. Otworzyli parasol i poszli ze zdobyczą.

### II.

Przez miasto przepływa rzeka Chemnitz. Taką nazwę nosiło kiedyś i to miasto, powstałe w 1165 roku, na skrzyżowaniu szlaków handlowych. Najpierw kwitł tu handel, a kiedy w XIV wieku zainstalowano urządzenia do bielienia lnu, zaczął tworzyć się ośrodek włókienniczy. I tak już zostało. W XIX wieku Chemnitz jest już „saksońskim Manchesterem” i zaraz potem „czerwonym Chemnitz”, gdyż jak znany to z przeszłości Łódź, żywiołowy rozwój kapitalizmu nieuchronnie rodzi walkę proletariatu o swoje prawa. Zrodził więc i ten proletariatu bojowników, którzy zapisali się chlubnie w dziejach Niemiec: Fritz Heckerta, Rudolfa Herlassa, Ernsta Enge.

Dawne Chemnitz, a od 10 maja 1953 roku Karl-Marx-Stadt, nie ma tak bogatych tradycji historycznych, nie ma tak wiele zabytków, jakimi chlubni się niedawnie Drezno czy Lipsk. Taki jest już los miast robotniczych, miast przemysłowych. Ale i Chemnitz miało w dawniejszej przeszłości ludzi zasłużonych dla kultury Niemiec. Rządził tu kiedyś miastem burmistrz — Georgius Agricola, który był nie tylko dobrym gospodarzem i sławnym uczonym. Mieszkał tu też nauczyciel Ludwiga van Beethovena — Christian Gottlob Neefe.

Zachowało się też kilka zabytków dawnej przeszłości Chemnitz: ratusz, czerwona wieża, opera, a w jej po-

bliżu kilka ustawionych tu skamieniałych drzew, mających już przeszło 200 milionów lat. Zachował się dawny kościół zamkowy i kościół świętego Jakóbiego oraz budynek muzeum. Resztę pochłonęła wojna.

Karl-Marx-Stadt leży w dolinie, otoczony wzgórzami. Na południe od miasta zaczynają się już Rudawy. Z której strony nie wjeżdżać by do miasta, wszędzie widać jego panoramę, rozpostartą w kotlinie, z nielicznymi wieżami kościołów, z prostokątnymi pudłami nowego centrum i ze szczupłą sylwetą hotelu „Kongresowego”.

Przy głównej alei — przy Karl-Marx Allee — na tle wielkiego budynku, gdzie mieści się siedziba władz administracyjnych okręgu i inne instytucje, stoi monumentalny pomnik Karola Marksa, dzieło laureata nagrody im. Włodzimierza Lenina — profesora Lwa Kurbela. Centrum Karl-Marx-Stadt jest rozległe, nowoczesne, jeszcze w budowie. Obok Interhotelu „Kongresowy” powstaje wielka sala widowiskowa na 2270 miejsc, mniejsza na 670, restauracje „Irkuck” — już czynna zresztą, podjazdy, parkingi.

Czworobok, przypominający swoim kształtem trapez, a ograniczony ulicami: Karl-Marx Allee, Strasse der Nationen, Ernest — Thalmann Strasse i Wilhelm — Pieck Strasse, między siedzibą władz administracyjnych okręgu, czerwona wieża, obok której rozpostarł się pawilon z biurem informacyjnym i małymi salkami wystawowymi, ratuszem — stanowi centrum centrum miejskiego. Tu właśnie powstaje „kombinat” z Interhotelem „Kongresowy”, z halami widowiskowymi, klubami, restauracjami, palniarnią, Wysoki, 90-metrowy budynek Interhotelu „Kongresowy”, widoczny z każdego niemal miejsca w

Fot. Archiwum



— Mieszkają w akademiku — powiedział Jochan Dittmann, warszawski student matematyki, a mieszkaniec Karl-Marx-Stadt, który towarzyszył mi w wędrówkach po NRD wraz z dziennikarzem „Freie Presse”, Gottfriedem Fischerem — ale ich nie ma, wyjechali na koncerty. — I pokazał z okna na 22 piętrze „Kongresowego”, gdzie się te akademiki mieszcza.

Istotnie, jak się później dowiedziałem, łodzianie wędrowali wtedy po okręgu Karl-Marx-Stadt, byli w Johangeorgenstadt, nad granicą z CSRS, koncertowali w Annabergu, byli w Plauen, nad granicą z RFN, występowali w Freibergu, gdzie kiedyś mieszkał rosyjski uczyony Lomonosow, który przyjechał studiować na tamtejszej, słynnej wówczas akademii. Występowali też w Zwickau i Karl-Marx-Stadt.

Dopadłem ich wreszcie w Karl-Marx-Stadt, kiedy właśnie występowali w letnim kinie. Ale nie mieli zbyt wiele szczęścia. Lało wtedy niemilosierdzie. I trzeba było przerwać koncert. Udały się natomiast występy

ście poszli oglądać stoiska, grać w „kręgu szczęścia” i smakować dobre niemieckie piwo, zakąszając je parówkami z musztardą.

Do dziś zresztą nie wiem, czy tych trzech „Marchlewiczaków”, którzy rozwalali piramidki z puszek po szparagowej fasolce, wygrało swoje wino, czy nie. Kiedy odchodziłem, grali uparcie dalej, choć ten trzeci powtarzał:

— Dajcie spokój, weźcie piwo, a wino kupimy sobie sami.

### IV.

Siedzieliśmy z Andrzejem Gieldowskiem w restauracji „Kopenhaga” i piłismy piwo, kiedy przyszedł do nas Gottfried Fischer i poskarżył się:

— Mam nieszczęście?  
— Jakże — zapytałismy obaj.  
— Moja żona zakołała się w naszym Tomaszewskim.

Była niedziela, 7 lipca 1974 roku. Medale były już rozdane, wiadomo było, kto ma puchar i złoto, kto do-

# FESTYN W KÖCHWALDE

mieście, określa punkt centralny tego centrum.

### III.

W „20 Pressefest” brali dość licznie udział i Polacy. Na inauguracyjnym koncercie pod deszczowym niebem występował Daniel. Później koncertował tu zespół taneczny „Poltexu” — ZPB im. J. Marchlewskiego, a w letnim kinie — pięknie położonym w Koehwalde — koncertowali artyści „Łódzkiej Estrady”.

Łodzianie wyjechali wcześniej ode mnie i wiedziałem, że mają mieszkać w Karl-Marx-Stadt. To wszystko. Kiedy tylko przyjechałem do tego miasta, zaraz poprosiłem o odszukanie łódzkich artystów.

„Łódzkiej Estrady” w Zwickau, gdzie dwa plenerowe koncerty odbyły się wprawdzie przy porywistym wietrze, ale podobały się publiczności. Zaraz po występie piosenki „A wisty” odtworzono z taśmy. Zespół ten, kierowany przez Leszka Orlewicza występował też przed mikrofonami rozgłośni radiowej w Karl-Marx-Stadt.

W imprezach 20 święta „Freie Presse” uczestniczył też młody zespół łódzki „Bis Signal Bis”, E. Miskiewicz i Henryk Stefaniak. Na centralnej estradzie w Koehwalde występował zespół „Poltexu”. „Marchlewiczacy” mieli więcej szczęścia. Ich występem nie przeszkodził deszcz. Akurat była przerwa w padaniu. Zaprezentowali więc ogniste tańce polskie. A po wy-

stał medal poznaczony, kto srebro i miedz.

— Nie ma zmartwienia — powiedział na to Andrzej — przysięść jej z Łodzi zdjęcie Tomaszewskiego z autografem. On jest bramkarzem w naszej drużynie.

Po czym wypiliśmy zdrowie Jana Tomaszewskiego i polskiej jedenastki. Już nie piwem. Konjakiem. A teraz Andrzej Gieldowski martwi się zapewne, jak zdobyć zdjęcie i autograf Jana Tomaszewskiego i wysłać jego zdjęcie do Karl-Marx-Stadt. Raz danego słowa trzeba przecież dotrzymać.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Fot. Archiwum

# WINDA PONAD MIASTEM

Staramy się iść jak najciszej, ostrożnie krocząc po kolorowej mozaikowej podłodze. Poglós nieśmiesznie się jednak, między potężnymi marmurowymi kolumnami, wysoko — pod sięgające kilku pięter sklepienie. Ogromny hall, poprzecinany rzędami kolumn, jest zupełnie pusty. Ze ścian spoglądają tylko — pod rześnym światłem kryształowych żyrandoli — sgrafittowe portrety najznakomitszych uczonych. Jest i Kartezjusz, i Spinoza, Pawłow i Mendelejew. Są i nasi — Mikolaj Kopernik i Maria Curie-Skłodowska.

Skręcamy w boczny, ciemny korytarz. Żenia zatrzymuje się u wejścia do jednej z wind. Wcisną przyciski. Jeden po drugim. Żaden dzwign nie działa. Zmartwiony rozglądam się wokół. Rusza po chwili na przeciw zbliżającej się do nas starszej kobiety w czarnym fartuchu. Trzyma ona w ręku cynkowe wiadro i szcztokę do zamiatania podłogi.

— Co się stało? Windy już nieczynne? — pyta Żenia.

— Cóż w tym dziwnego? Mogłicie, moi drodzy, przyjeść trochę później. Na przykład o trzeciej w nocy...

Spoglądamy obaj na zegarek. O rano! Rzeczywiście dobiega już pół do pierwszej. Żenia nie daje jednak za wygraną. Tym bardziej że do rozmowy włącza się barczysty mężczyzna, który nadszedł przed chwilą.

— Zrozumcie — tłumaczy Żenia strapiłony i zażenowany — chciałem koledeż pokazać Moskwę nocą.

— Przyjdźcie jutro wieczorem, ale o przyzwolonej porze...

— Kiedy jutro, to już musztarda po obiedzie — wykrzykuje z desperacją Żenka. — Jutro towarzysz odlatuje... — A gdzie to? — pyta nieznanomy.

— Z powrotem. Do Warszawy — mówię.

— A, to zupełnie co innego — stwierdza, wyciągając z kieszeni pęk kluczy.

Winda rusza, nabierając prędkości. Nad drzwiami zapalają się cyfry: jedenaście, dwanaście, trzysta... Żółteki ucieka w dół, z tykają się uszy... Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć... Wsiadamy na dwudziestym osmym po przeszło dwustumetrowej podźwigi w górę. Żenia skręca w stronę kufy w żelazie bramy. Nasz przewodnik zatrzymuje go gestem. Idziemy za nim do małych drzwi opatrzonych napisem: „służebny lift”. Służbową windą wznosimy się cztery piętra wyżej. Jeszcze kręcone metalowe schody i już jesteśmy na wąskim tarasie uwikłanym w sieć stalowych linek, prztwierdzonych do ustawionych na balustradzie reflektorów.

— Stąd Moskwę nie oglądają nawet nasi studenci nie mówiąc już o turystach — wyjaśnia z radością Żenia.

Nad nami jeszcze tylko 58-metrowa iglica zwieńczona gwiazdą z 9-metrowymi ramionami. Pod nami — 240 metrów centralnej części budynku Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu im. M. Lomonosowa, do której przylegają 18-piętrowe skrzydła i 12-piętrowe korpusy, składające się na bryłę architektoniczną z pomieszczeniami o łącznej powierzchni sięgającej ćwierci miliona metrów kwadratowych.

A przed nami, za nami, wokół nas — 878,7 kilometra kwadratowego Moskwy z tysiącami domów i 99 milionami metrów kwadratowych mieszkań, w których żyje bez mała 7,5 miliona ludzi.

Moskwa śpi. Zakończyły się spektakle teatralne i kinowe. Restauracje już pozamykane. W większości też domów ciemne okna. Tym wyraźniej rysują się w ciemności gesty światła prostej i ujętej, wyczuwają się zarysy gigantycznego planu miasta.

W mozaice latarni i reflektorów — z pomocą moich towarzyszy — udaje się odszukać znajomą już miejscą.

Prospekt Pokoju. Wszzechwiązkowa Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Istniejąca od 1939 roku „Główna wystawa Kraju Rad” — jak ją tu nazywają — rozłożyła się dziś na powierzchni 200 hektarów, zamieniając się w spore miasto ze swymi 80 pawilonami, skwerami i ulicami. Obok wystawy — Ostankiński Park, nad którym góruje jeden z najwyższych obiektów świata — 538-metrowa wieża Wszzechwiązkowego Centrum Telewizyjnego im. 50-lecia Października.

W innym kierunku — główna magistrala Moskwy: ulica Gorkiego. U jej początku widać wysoki wieżowiec ze szkła i betonu. Hotel „Inturista”. Jego masyw ukrywa w cieniu niewielki — jak na moskiewską skalę budynek hotelu „National”. Jeden z najstarszych i ongiś najładziej-eleganckich hoteli miasta. W pokoju nr 107 mieszkał tu w marcu 1918 roku Włodzimierz Iłjcz. W jednej zaś z jego wytwornych sal restauracyjnych stołuję się tu od paru dni wraz z 29-osobową grupą Polaków.

Pod ten hotel zajeżdżałem pierwszego dnia pobytu w Moskwie jedną z jej 19 tysięcy taksówek. Prozaiczna sprawa: zaspałem.

Kierowca taksówki nr 69-43 — Walerii Konstantinowicz Pidnow zapisał po chwili rozmowy:

— Przepraszam, ale ciekawi mnie, skąd pan pochodzi. Ma pan taki, przybaltycki akcent? Z Polski? Ach, Polska! Przed trzydziestoma laty ze 150 brygadą czołgową wyzwalałem nasz kraj. Przemknęliśmy przez Warszawę i na zachód — na Berlin. Na szczęście, w drodze powrotnej było dość czasu, aby poznać pańską ojczyznę i jej ludzi. Zostały mi piękne wspomnienia z tamtych dni. Ba, nie tylko. Również serdeczni przyjaciele. Nie uwierz pan, ale właśnie teraz spędza urlop w Warszawie moja żona z wnuczką. Wieczorem rozmawiałem z nią przez telefon.

Są oczarowane Polską... Na przecięciu ulicy Gorkiego z Sadowym Pierścieniem — plac Makajowski i pomnik poety dłuta A. Kibalnikowa. Wokół placu Sala Kohercertowa im. P. Czajkowskiego, Teatr im. Moskiewskiej Rady, Teatr Satyry, Teatr „Sowremiennik” i kinoteatr „Moskwa”.

Sledząc wzrokiem przebieg ulicy Gorkiego, dostrzec można jeszcze jeden teatralny plac Moskwy, zwany obecnie placem Swierdłowa. Tam właśnie — z monumentalną kolumnadą i kwadrygą zaprzęzoną w brązowe konie — wznosi się Teatr Wielki Związku Radzieckiego, wybudowany według projektu O. Boyssgo i A. Michajłowa. A w pobliżu Teatr Mały z nadnaturalnej wielkości pomnikiem A. Ostrowskiego — drama-

turga i dyrektora — u wejścia. Trzeci wreszcie — to Centralny Teatr Dziecięcy, nie mający zbyt wielu odpowiedników na świecie.

Chcąc dojechać właśnie na ten plac, zablądziłem — nie po raz pierwszy zresztą — w labirynt metra. Siedząc w wagonie kolejki pedzającej mrocznym tunelem pytałem współpasażerów, gdzie muszę wysiąść, aby dostać się na plac...

— Wsiadźmy razem ja też w tym kierunku — odezwał się niespodziewanie stojący obok drobny, niewysoki chłopak. Czarnowłosa, z syńczym się wąsem, w okularach i berecie. Kiedy wyjeżdżaliśmy ruchomymi schodami na plac Swierdłowa, byliśmy już zadeklarowanymi przyjaciółmi. Eugeniusz Kraczk, syn inżyniera elektryka i kolejowej kasjerki. Wieczorami — student pierwszego roku Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu im. Lomonosowa, we dnie zaś — etatowy drużynowy pionierów. Po prostu — Żenia...

Rozstaliśmy się po godzinie rozmowy. Żenia spieszył się na wykład, ja — na kolację. Miał zadzwonić do mnie, do hotelu, następnego dnia rano. Nie dzwonił. Straciłem nadzieję, że spotkam się jeszcze z sympatycznym moskwytaninem, a tu raptem — wracam po kolacji: w hotelowym hallu czeka na mnie Żenka.

— Nie mogłem się do ciebie rano zadzwonić. Twój numer blokowała centrala międzynarodowa. Nie, nie czekam długo. Co najwyżej godzinę...

I znów — rozmowa o wszystkim. O Moskwie, Warszawie i Łodzi. O Puszkinie i Mickiewiczu. Bulhakowie i Brandysie. O Oświeleciu i leningradzkiej blokadzie. Nad gruźliczą herbata w hotelowym numerze.

— Nie, nie wyjeżdżasz, póki nie zobacysz nocnej Moskwy. Dawaj, jedziemy na Wzgórze Lenina — zrewal się w pewnym momencie Eugeniusz.

— No i co. Przyznaj, że Moskwa jest piękna — mówi teraz Żenia. — A tam, widzisz? Trochę bardziej w lewo. Prospekt Kaliniina.

Prospekt Kaliniina, którego fragment między placem Arbaćkim i Mostem Kalinińskim żywo przypomina warszawską ścianę wschodnią. Ogromny „Dom Książki”, „Niezabudka” — największa moskiewska księgarnia, odzieżowy dom towarowy — „Moskwianka”, sklep muzyczny „Melodi”, czy na koniec restauracja „Arbat” i ogromny obracający się globus obok niej.

Tuż przed samym mostem 31-piętrowy gmach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej o oryginalnym kształcie otwierającej się książki. W budowie tego budynku — oraz pobliskiego 13-piętrowego hotelu „Pokój” — uczestniczyli również i Polacy. A po drugiej stronie mostu — na Prospeście Kutuzowa — wielka szklana ściana hotelu „Ukraina”.

W przeciwnym kierunku, Prospektu Kaliniina, pod numerem 14, przy samym Placu Arbaćkim, jeden z najoryginalniejszych budynków Moskwy — niewielki pałacyk w pseudo-mauretańskim stylu ze śmiesznyimi, koronkowymi wieżyczkami. Kiedy został wybudowany przed dwoma bez mała stuleciami przez młodego kupca, jego rodzona matka — jak głosi anegdota — miała mu powiedzieć: „Do tej pory wiedziałam tylko ko ja, że jesteś wariatem, odtąd będzie o tym wiedziała cała Moskwa!”

W tym pałacyku mieści się dziś Dom Przyjaźni Narodów. Tu właśnie spotkałem się przed dwoma dniami — dzięki pośrednictwem nieocenionego Bolesława Miguły, sekretarza Zarządu Łódzkiego TPP-R — ze Stanisławem Iwanowiczem Książkiem, sekretarzem Zarządu Głównego TPP-R. Po dziesięciu minutach rozmowy przybrała ona charakter tak sympatyczny i bezpośredni, że odnosiłem wrażenie, jakbym znalazł się ze Stanisławem Iwanowiczem co najmniej kilka lat.

dziękuję niemu spotkałem się z kolegą po piórze — redaktorem Konstantinem Wasiljewiczem Kuzniecowa, kierownikiem działu redakcji miesięcznika „Kultura i Życie” —



Fot: Archiwum

Red. Kuzniecowa przyniósł na spotkanie plik magazynów w kolorowych okładkach. „Kultura i Życie” — wydawana w pięciu językach, w nakładzie 100-tysięcznym, kolportowana na całym dostojnie świecie — jest organem Związku Radzieckich Towarzystw Przyjaźni i Kulturalnej Więzy z Zagranicą. 50-stronicowy magazyn redaguje kilku zaledwie dziennikarzy, korzystających jednak z pomocy licznej rzeszy współpracowników.

Wprawdzie pismo obejmuje swą tematyką wszystkie w zasadzie narody świata, stosunkowo duży udział w zawartości poszczególne numerów ma nasz kraj.

— To właśnie ostatni numer naszego magazynu — Konstantin Wasiljewicz przerzuca strony miesięcznika — w którym zamieszczamy referat Jana Szymbańskiego pt. „Jedność — źródłem siły socjalizmu i gwarancją trwałego pokoju”. A oto poprzedni numer z moją relacją o wspólnej wycieczce z polskimi dziennikarzami — S. Czarnogorskim i A. Jabłonowskim w Nowosybirsku. Kolejny numer, mój reportaż pt. „2500 kilometrów po Polsce”, a w jeszcze wcześniejszym artykule Aristarcha Andrianowa pt. „Dziesięć dni wśród polskich przyjaciół”. I tak w zasadzie w każdym numerze. Polska zajmuje zresztą wielkie miejsce nie tylko w naszej codziennej pracy, ale i w perspektywnych założeniach...

I znów wzrok przenosi się w inną stronę — plac Dzierżyńskiego z pomnikiem dłuta J. W. Wuczeticy i G. A. Zacharowa. Na plac ten wychodzą okna największego w Kraju Rad, jednego z największych na świecie, dziecięcych sklepów — domu towarowego „Dietskij Mir”, w którym jednorazowy asortyment samych tylko zabawek sięga kilkunastu tysięcy pozycji.

To chyba tu — na pobliskiej stacji metra siwutka jak gołabek, drobna i niska staruszka, zapytana o drogę odpowiedziała z nieukrywanym żalem i rozbrajającą szerokością:

— Dłiszka, miękijki. Ja nie znam, ja dieriewienskaja!

— Ale Kreml sam musisz odnaleźć — stwierdza Żenia, ciesząc się po chwili, że udaje mi się to bez szczególnych trudności.

Goreje pięcioramienna gwiazda o bez mała czterometrowej średnicy. Pięcioramienna — z połączanej nierdzewnej stali i rubinowego szkła. Świeci mocą pięciotysięcznowatowej żarówki.

Ta gwiazda — największa — na najważniejszej wieży — Spaskiej nie jest jedyną gwiazdą Kremia. Gwiazd wieży Nikolskiej, Troickiej, Borowieckiej i Wodocągowej — z tej jednak odległości nie widać.

Widać za to jaskrawo oświetlony budynek najnowocześniejszego, wybudowanego w 1967 roku, hotelu „Rosja” na sześć tysięcy miejsc noclegowych. Wnętra pełne przepychu: kryształowe świeczniki, marmurowe posadzki, boazerie z najszlachetniejszych drzew. Nowoczesna sala koncertowa, w porównaniu z którą łódzki Teatr Wielki wydaje się mały. I wreszcie — jedna z najelegantszych restauracji.

Pośrodku drewniana mozaika parkietu. Na niewielkim podwyższeniu kilkudziesięciuosobowy — big-band. Wokół stolik z brzoźowego drewna i również brzoźowym wykładane od wewnątrz głębokie fotele.

Z trudem — przy pomocy holującego nas kelnera — udało się zdobyć wolne miejsca. Przy tym samym stoliku kończy właśnie kolację

małżeństwo — sądząc po cerze i rysach — z którejs z południowych republik. Zwalniają po chwili miejsca, które natychmiast zajmują para młodych ludzi. On z ogorzałą od wiatru i słońca cerą, w welnianym półgolfie i skromnym garniturze. Ona — w czarnej bluzce z bufiastymi rękawami i tapirowaną fryzurą.

I znów — jak w całej Moskwie — wystarczy parę minut, aby bez przełamywania jakichkolwiek lodów, zmienić się w dobrych znajomych. Tym bardziej że wspólny język znaleźć nietrudno. Bo oto orkiestra — po spularyzowanych przez Marka Bernesa „Szalandach” — gra nasze „Gdy w ogrodzie botanicznym zakwitną bzy”.

Lida i Siergiej. Chętnie mówią o sobie. On — kierowca w państwowej instytucji. Ona — też pracuje w transporcie. Owszem, lubią zjeść od czasu do czasu kolację w dobrej restauracji. Wprawdzie to trochę kosztowne, ale każdego w zasadzie stać tu na takie przyjemności. Faktycznie, niebyst to wielka atrakcja, bo — tu trochę sżywno i nudnawo, ale można przynajmniej potanisznie przy dobrej muzyce. Chętnie się razem wybiorą, o! powiedzą, jutro, tam, gdzie bawia się młodzi. Nie wimy? Zaprowadzą. Dyktują numery telefonów...

Z „Rosji” na Kreml dosłownie kilkaset kroków. Niewiele jest stąd również dalej do hotelu „Bukareszt”. Trzeba tylko przekroczyć mostem rzekę Moskwa...

— Tak. Tak. I już jesteś między towarzyszami z Polski — mówi Żenia. — Wszyscy pewnie już śpią, wymęczeni całodziennym zwiedzaniem miasta. Oj, tylko ty się nie wypisz. Ale, co? Chyba nie żalujesz, taka piękna jest nasza Moskwa nocą.

\*\*\*

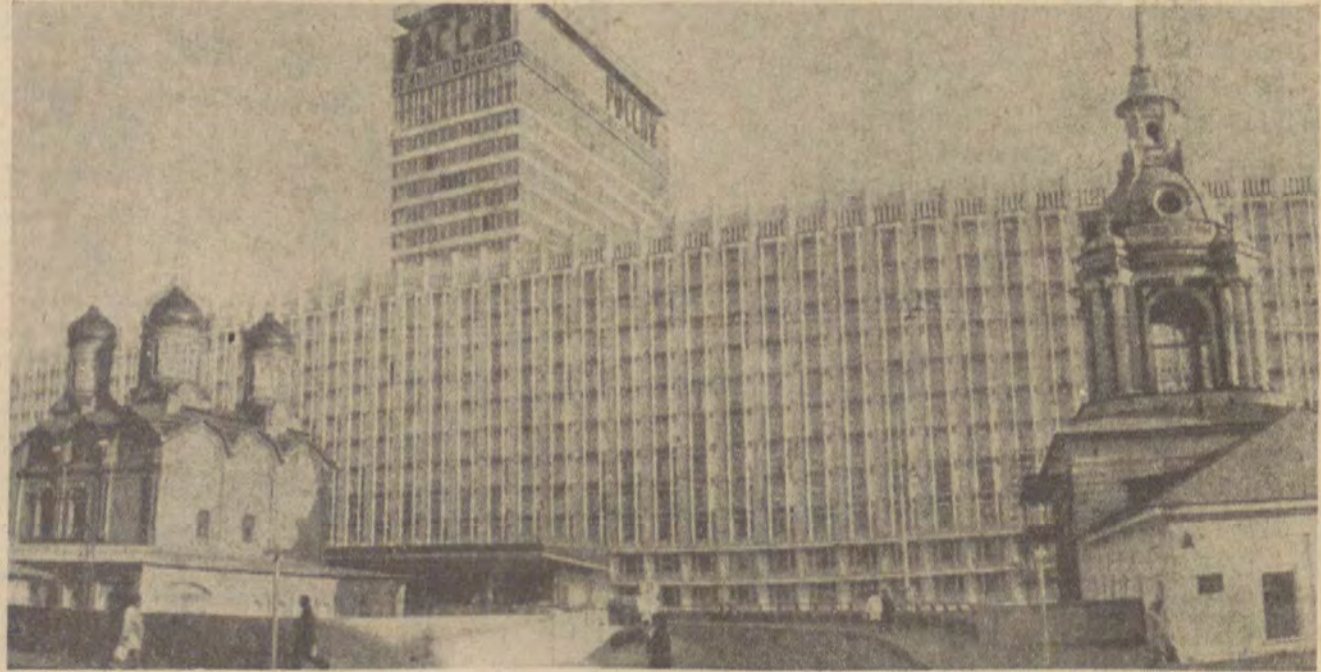
„Aby wrócić ze Wzgórz Lenina do „Bukaresztu” trzeba kilkudziesięciu minut drogi: najpierw trolejbus, potem metro wreszcie krótki spacer do Stacji Nowokuznieckiej.

Cóż, „Bukareszt” leży w samym centrum Moskwy. Załatwiający kwatery właśnie tu moskiewscy gospodarze sprawili nam wszystkim wiele radości. „Wszystkim” — to znaczy 30 współtowarzyszom lotu Ms (1028—1030)74, czyli pasażerom „Samolotu „Przyjaźni”, zorganizowanego przez Zarząd Łódzki Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i łódzki oddział „Orbisu”.

Nasi gospodarze zadbałi też o atrakcyjny program pobytu, w czasie którego — doskonale pilotowani przez Iwonę Szymbańską z łódzkiego „Orbisu” oraz Helenę Dubrowską i Aleksandra Gronskiego z moskiewskiego „Inturista” — mieliśmy możliwość poznać chociaż co ciekawsze.

Poznać, rzecz jasna, na tyle tylko, na ile pozwoliło kilka dni, w czasie których — mimo pełni wiosny — przeżyliśmy dosłownie wszystkie pory roku: przywitał nas deszcz, potem wyrzało łójce, aby rozprażyć się do letniego upału, ustąpił miejsca jesienniej szarudzie, która przeszła w gradobicie, a w końcu — w żegnającą nas na lotnisku „Szermentiewo II” zimową śnieżyce.

Tych kilka dni nie starczyło, by poznać dobrze miasto. Starczyło jednak, by wywieść z niego ustaloną opinię o jego mieszkańcach. Ludziach, którzy dla przyjaciół — jak mawia poeta — mają serca na dłoni. Wystarczyło, aby w miesiąc tym zostać przyjaciółmi, których istnienia jeszcze się przed kilkoma dniami nawet nie przeczuwało...



Fot: Archiwum



# NOC NAD NEWĄ

Wiemy dobrze, że schody ruchome suną tu szybko, więc zblizając się do nich spoglądamy uważnie pod nogi. Dopiero gdy moment startu mamy już szczęśliwie poza sobą, gdy stojąc na żelaznych stopniach wraz z nimi wznosimy się coraz wyżej nad poziom stacji, spoglądamy w górę i widzimy tylko półkoliste sklepienie szybu zwięzające się gdzieś tam daleko i wysoko, widzimy rzędy lamp wetkniętych jakby w szerokie balustrady schodów, także gdzieś tam w górze zbiegających się w jeden punkt. Wydaje się, że żelazne stopnie wiozą nas do nikąd, ale z tego nikąd, drugim pasmem schodów zjeżdżają w dół mijając nas szybko grupki osób traktujących tę podróż w czeluść jako coś zupełnie nie wartego uwagi, powszedniego. Raz i drugi widzimy, że młodzi mężczyźni stoją na swych ruchomych podestach tyłem do kierunku jazdy i nie przerywają rozmowy ze swymi towarzyszkami stojącymi wyżej na sąsiednim stopniu; zdaje się że taka dezynwoltura należy tu do dobrego tonu czy też fasonu znajdującego uznanie.

Wreszcie u góry białego, pochylego tunelu zarysowuje się jakiś otwór wyłotowy i płaszczyna poziomo ułożonego stropu. Schody donoszą nas do miejsca, w którym pochylony barier łamie się i splaszczają; znów spoglądamy uważnie pod nogi i z ruchomej łasny przeskakujemy na solidną płaszczynę stabilnej posadzki, aby normalnie, po ludzku, przy użyciu mięśni własnych nóg wyjść ze stacji metra. Mijamy umieszczony nad drzwiami zegar wskazujący jedenastą z minutami i przyśtuajemy na chwile na skraju stopni wiodących na poziom chodnika.

Ni to znierzył, ni brząsk, szarówka. Ani na skwerze otaczającym stację, ani na pobliskiej ulicy nie pali się ani jedna latarnia, w oknach wzniesionych przy ulicy domów światła prawie nie ma, pewno słońca już ich mieszkańcy. Pod drzewami skweru stoi kilka osób, kilka innych wtapia się w szarówką nasyconą ulicę. Idziemy za nimi bez pospiechu i wkrótce wydaje nam się, że jesteśmy sami na tej przestranej, pustej ulicy, która zaprowadziła nas chyba do Pola Marsowego. Jak nie zaprowadzi to też dobrze, lubimy tak po omacku chadzać po nieznanym mieście i odkrywać w ten sposób jego niespodziewane uroki. Próbujemy tylko zorientować się jak też nazywa się ulica, po której idziemy, ale niewielkich liter tabliczek umieszczonych na narożnym domu odczytać nie możemy. Przy tej próbie dogania nas jakiś kobieta spiesząca chyba do domu z wydławaną siatką i nyla jakiejś do ulicy szukamy; my oczywiście niczego konkretnego nie szukamy i wyjaśniamy życzliwej żeńszczyźnie, że tak sobie, zwyczajnie, łazimy po nocy, gdzie oczy poniosą.

I niosą nas oczy wzdłuż czającej srebrzystą szarówką ulicy, której koniec rozprasza się w tym dziwnym ni to mroku ni brząsku. Idziemy wzdłuż ścian domów mijamy wystawy sklepów pograżonych jak cała ulica w miękkich półtonach cienia. Nad głowami mamy ograniczony murami domów, jasny jak podoksydowane srebro, trakt nieba zawieszony lekko, wysoko zawieszonymi chmurami. Na jezdnii pustej, słyszmy doskonale własne kroki pobrzecawiające między zwartymi szeregami budynków.

Po chwili cisza wypełnia się nadchodzącymi odgłosami innych kroków i rozmów. Z przecznic wychodzi na naszą ulicę i kręca ku nam kilku oficerów czy elewów szkoły oficerskiej; są wszyscy młodzi, smukli, odziani w znakomicie dopasowane wyściełane mundury; wracają chyba do swej jednostki z jakiegoś urlopu bo każdy z nich dźwiga jakąś niewielką walizkę. Przekonarzają się, dogadują sobie wzajem. „Ale tak konkretnie to nie masz nie do powie-

denia” — stwierdza jakiś młody głos, a inne przyjmują to oświadczenie śmiechem. Mijamy się przy wielkiej wtyrnie jakiegoś magazynu czy urzędu i po chwili dochodzimy do skrzyżowania, z którego wyszli młodzi wojsacy. Spoglądam wzdłuż tej przecznicy w prawo — grzęźnie mi wzrok w młocnym mroku; spoglądam w lewo — dostzegam poblysk skrawka nieba leżącego niedaleko — tuż na poziomie ulicy. Patr — mówię, — Nowa.

— Gdzieś ty mnie wyprowadził? — pytasz, gdy doszedłszy do nadbrzeża oparliśmy się o kamienną balustradę. Rozglądam się uważnie, bo sam jeszcze nie wiem, gdzie jesteśmy. Szary poblysk proszący z nieba, szary poblysk odbijający się od niespokojnej, drgającej drobnymi falami rzeki sprawiają, że jest tu znacznie jaśniej niż na tej ulicy, która miała nas zawiesić na Marsowe Pole. Widzę na lewo od nas mroczne pasmo mostu biegnącego po płaskich łukach rozpiętych między przęsłami. Za mostem, na tle matowego nieba rysuje się iglica petropawłowski soboru. Już wiem — nie szliśmy wcale w stronę Pola Marsowego, lecz wręcz przeciwnie; stoimy nad Newą mniej więcej naprzeciw placu Lenina przy dworcu Finlandzkim.

— Widzisz — powiadam — tym nadbrzeżem po drugiej stronie jechaliśmy w niedzielę na Piskariwski Cmentarz.

Zadumaliśmy się oboje na chwile. W samym upale, czerwcowe południe wysiedliśmy z autokaru przy tym ementarze i zaraz wchłonęła nas ciżba ludzi zdających w tę sama co i my stronę. W muzealnym salkach urzędowych przy ementarne bramie ścisł był niemilostny, mimo to wcechł się do środka na co ja zdobyć się nie mogłem. W cieniu rzucałm przez muzealny budyneczek czekałem na ciebie obserwując grupę młodych marynarzy, którzy ze zdumieniem oglądali jakiegoś przynależnego do wycieczki inostran-ców, młodzieńca, kudłatego i kosmatego wprost do niemożliwości. Potem mijając z nich zeszliśmy na płaszczynę cmentarza i szliśmy ku zamykającemu go murowi i rzeźbie. Przywykłem do cmentarzy podzielonych na drobne kwatery, zatłoczonych mnostwem rozmaitych krzyży, kamieni, tablic, pomników; tu szliśmy mimo jednakich, ni to moglić ni płaskich kurhanów trawiastych o rozmiarach przypominających boisko do koszykówek, kurhanów otoczonych niskim betonowym obramowaniem i zdobnym jednym tylko kamieniem, na którym wyrzyta jest tylko data roku 1942. Ten szereg ogromnych mogił mieszczących bezimiennie złożone w nich ofiary obłożenia i obrony miasta ciągnął się i ciągnął; im bliżej pomnikowej rzeźby i muru z napisem, tym poważniejszy stawał się nastrój w rozgadanej

jeszcze i hałaśliwej przy wejściu ciżbie sunącej teraz między kurhanami ofiarności i męstwa. Siedliśmy potem na ławce w bocznej alejce i przy dźwiękach świetnie dobranej do charakteru tego miejsca muzyki płynącej z głośników patrzyliśmy na ludzkie mrowie w skupieniu, ze wzruszeniem odwijające miejsce, na którym „nikt nie zostanie zapomniany i nie nie pójdzie w zapomnienie”. Kiedy wracaliśmy do autokaru przyznaliśmy, że zaden z widzianych ementarzy nie zrobił na nas tak głębokiego wrażenia jak to proste, ogromne pole zmarłych.

— Tłuch wtedy zginęło? — spytałaś spoglądając na polską szarą szaryną Newe.

— Siedemnaście tysięcy od bomb i pocisków, ponad milion z głodu i zima. Postaliśmy jeszcze chwile przy balustradzie i poszli w stronę mającego w oddali mostu, zgodnie z biegiem tej dziwnej rzeki, która ma niespełna osiemdziesiąt kilometrów długości, ale w wodę obfita jest i szeroka. Pod przęsłami mostu przejechał w naszą stronę i zaraz zawrócił jakiś wycieczkowy stateczek. Biegająca wzdłuż rzeki jezdnia z rzadka tylko przeleciał jakiś samochód, białe lawki stojących opodal kamiennej balustrady były puste, gdzieś przed nami równie powoli jak i my, szli jacyś amatorzy nocnych spacerów. Zwrocone ku Newie okna domów były przeważnie ciemne; zaczęliśmy sobie przypominać, która to z powieściowych postaci spacerowała wzdłuż Newy tym samym co i my nadbrzeżem, ostatecznie postanowiliśmy pod tym właśnie kątem widzenia wrócić do Dostojewskiego i obu Tolstojów.

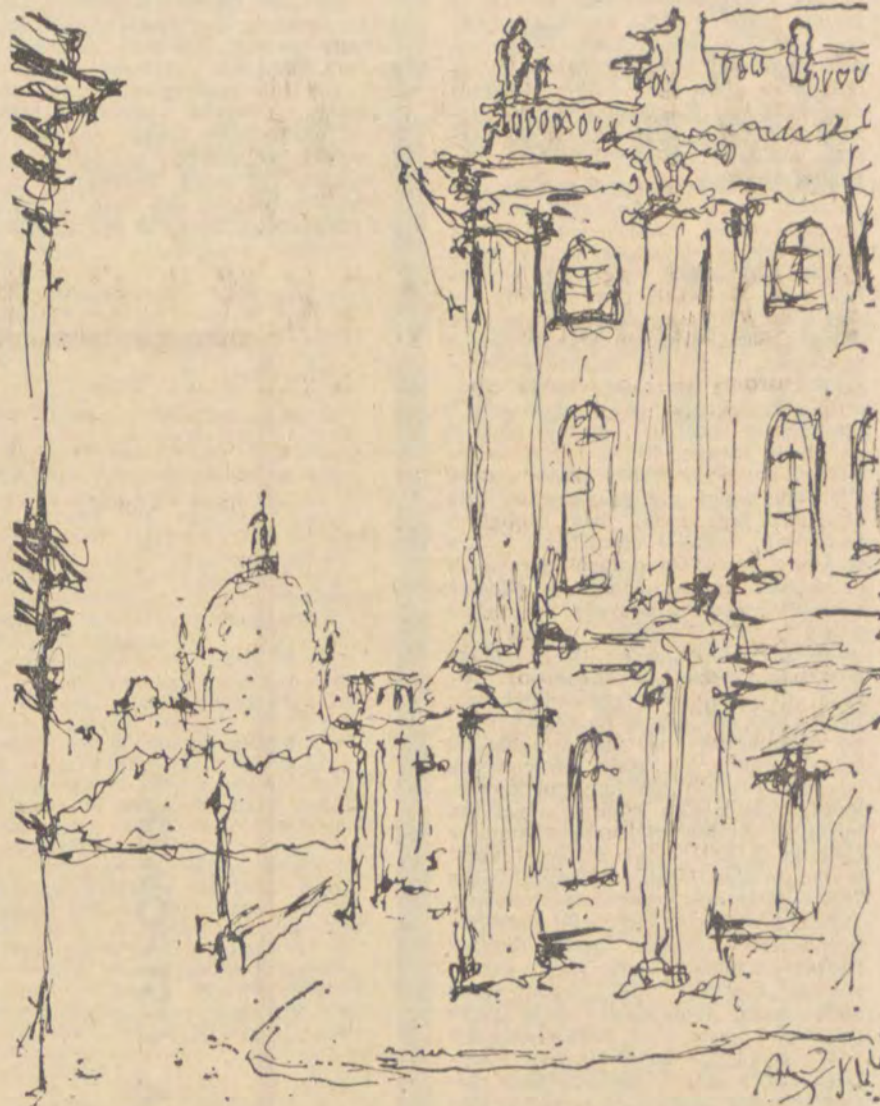
— A teraz dokąd idziemy? — spytałaś.

— Na Pole Marsowe.

— Jak to? Przecież przedtem szliśmy na Pole Marsowe a teraz wracamy? Musiałem przyznać, że przedtem to zamierzaliśmy tylko iść na to całe Pole Marsowe, a w rzeczywistości oddaliśmy się od niego i trzeba było pomyśleć odrobić. Wyrzuciła kilka uwag na temat moich kompetencji przewodnika; zniósłem to z godnością tym łatwiej, że wcale sobie takich kompetencji nie przypisywałem. Prowadząc ten pasjonujący dialog doszliśmy do mostu i minęliśmy go, idąc nadbrzeżem przebiegającym pod lukiem łączącym przyczółek z pierwszym filarem. Teraz przed nami zarysował się następny most, kirowski, za nim ciągnie widoczna petropawłowska wieżycyca a przed nim, na drugim brzegu rzeki, majaczył na rozświetlonej powierzchni wody biały kształt Aury.

— W gruncie rzeczy — powiedziałam — nie postąpiłeś przyzwicie z tym młodym człowiekiem.

Nie zaprzeczyłem, bo sam miałem



WEJŚCIE DO ERMITAŻU

Rys. Andrzej Grun

podobne wrażenie. Przed kilkoma godzinami, wleając się w pobliżu petropawłowski twierdzy zagadaliśmy o coś młodego człowieka, który zorientowawszy się, że ma do czynienia z inostran-cami zaczął nas wypytywać o wrażenia z pobytu w Leningradzie. Rozmowa rychło zmieniła się w coś w rodzaju egzaminu, podczas którego musiałem odpowiadać czy widziałem już sobór Na Krwi, czy byliśmy w Ogrodzie Letnim, czy obejrzelśmy Muzeum Historii Miasta. Kiedy wyjaśniałem, że w ciągu trzech dni pobytu nie byłem w stanie obejrzieć wszystkiego co jest obcejniamie warte — zaczął nas zapewniać, że nigdzie na świecie takich skar-bów, jak tu zobaczyć nie można, że w Ermitażu jest szerokość kluczy ważny ponad osiemset gramów ofiarowa-ny ongiś Piotrowi Wielkiemu, że jest tam też złoty kogut, który w południe trzepie skrzydłami, że jest także ofiarowa-ny Siałinowi złoty kubek, na którym wyrzyto hymn Związku Radzieckiego we wszystkich szesnastu językach związkowych republik. Na koniec zaproponował nam nasz rozmówca abymy około północy spotkali się z nim przy starej giełdzie na wasilewskiej wyspie a on nas poprowadzi, gdzie trzeba i przewiezcie łódką po Newie. Podziękowałem za tę miłą gotowość tłumaczyć — w dobrej wierze — że już jutro rano musimy zbierać się do powrotu; naprawdę nie sadziłem, że jednak zeche nam się jeszcze wyjść nocą na miasto.

Szliśmy niespiesznie w stronę kirowskiego mostu nadbrzeżem, na którym krocilo się już sporo ludzi czekających najpewniej na moment podnożenia mostów. Mieliśmy nadzieję, dostać się do Letniego Ogrodu, ale wspaniała brama była zamknięta; ogród i stojąca w nim ponad setka parkowych posągów stanowił obiekt muzealny, a tu wszystkie muzea zamyka się pod wieczór. W czasie, który tak mocno i pięknie upamiętnia Piskariwski Cmentarz posągi te były chyba — tak jak i wszystkie prawie pozostałe leningradzkie rzeźby — zakopane w ziemi dla ochrony przed zniszczeniem. Tylko trzy pozostały na swoim miejscu nie schodząc z cokołów: pomnik Suworowa, Kutuzowa i Barclaya de Tolly. Ci wybitni rosyjscy dowódcy byli przez cały czas obłożenia i blokady razem z walczącymi leningradczykami.

Minąwszy Letni Ogród skróciliśmy wzdłuż kanału w lewo i szli w stronę Marsowego Pola. Wkrótce chrzęścił nam pod stopami żwir alejki biegnącej między trawnikami i kępami bzu otaczającymi znicz, który plonie w centrum otwartego mauzoleum okalającego mogiły robotników poległych w dniach rewolucji październikowej. Przystaliśmy na jednej z ławek stojących na skrzyżowaniu dwóch alejek pod krzewami bzu; ławkę naprzeciwko nas zajmował jakiś marynarz z dziewczyną, ławkę po lewej — jakaś ciałkiem cywilna para młodych ludzi. Z satysfakcją wyciągnąłem przed siebie nogi sfatygowane nieco trzema dniami opętanych dreptań po tym mieście.

Pociągnęłaś nosem raz i drugi.

— Czujesz jak pachną?

— Czuję. Pachniały te bzy delikatnym, ale gestym jakimś zapachem.

— U nas już dawno przekwitły a tu dopiero kwitną.

Kiwiałem głową i sięgnąłem po termos, w który przezornie nalełem piwa. Wiedziałem, że ty piwa nie lubisz więc nie pytałem nawet czy będziesz piła.

— Popatrz — powiedziałem opróżniwszy kubek — dochoźl północ, a ty sobie oglądasz kwiatki, listki... Na uparte go czytać by można.

— Tylko nie tyli ich literami. Młody człowiek, ten od pary cywilnej, podszedł do nas i poprosił o papie-

rosa. Nagle pożalowałem tego, że od paru lat nie palę i z ulgą usłyszałem twoje: „Proszę, to są polskie papierosy”. Młodzieńiec podkleiwał uprzejmie i odszedł unosząc mentolowego. Zakre-cilem termos, w którym jeszcze co nieco zostało; okazałm, że mogę tu, na tej ławce, przesiedzieć choćby do rana. Oznajmiłm, że nie z tego nie będzie, bo nie po to zdobyłm się na to nocne chodzenie, żeby wówczas, gdy mosty na Newie idą w górę, siedzieć na ławce.

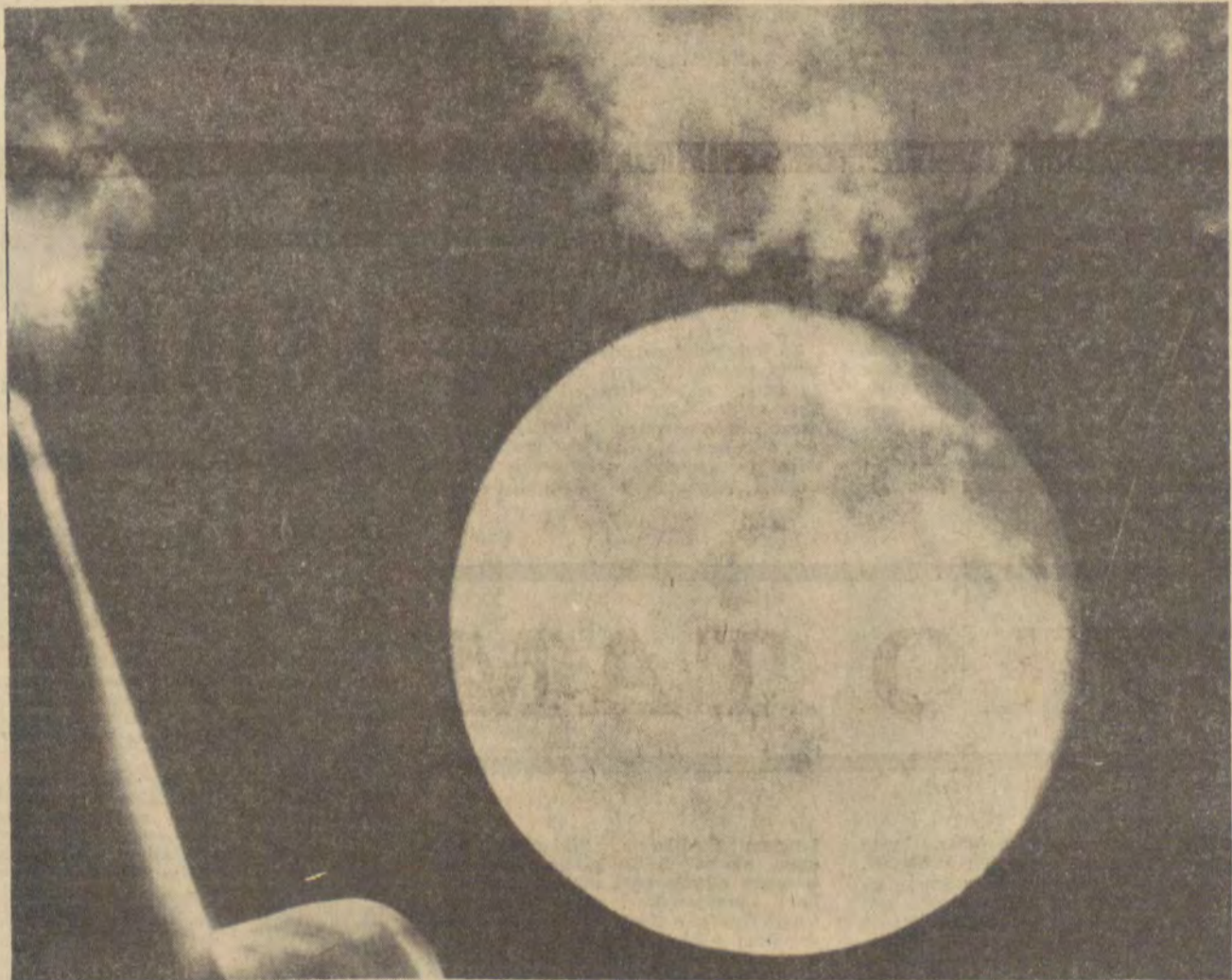
Przez miękkie obłoki bzuwych zapachów szliśmy wkrótce napowrót ku rzece defilując przed frontem petropawłowski koszar. Potem idąc wzdłuż ścian pałacu Orłowa — tego pałacu, w którym spędził swe ostatnie miesiące Stanisław August Poniatowski — wyszliśmy na nadbrzeże Newy naprzeciwko petropawłowski twierdzy. Wzdłuż kamiennej balustrady wznoszącej się nad rzeką rola się ciżba tam i z powrotem przechadzających się ludzi; omijając ten ścisł szliśmy w stronę mostu pałacowego chodnikiem biegnącym wzdłuż budynków Ermitażu. Na jezdnii stało kilkanaście autokarów; widocznie niejedna odwiedzająca Leningrad grona turystów miała w swym programie, podnożenie mostów na Newie. Było dopiero kilkanaście minut po pierwsz, czyli do mostowego obradku przyjdzie czekać jeszcze z trzy kwadransy.

— Pamiętasz tego zegarowego koguta?

— pytam wskazując ruchem głowy na wejście do Ermitażu, obok którego przechodzimy właśnie. Odpowiadasz, że jedno tylko z krótkiego pobytu w muzeum wyniosłaś wspomnienie: chaos tak wielu doznań i wrażeń, daremność starań, by wprowadzić w ten chaos jakikolwiek ład czy porządek.

Lawki stojące na skwerze między Ermitażem a gmachem Wyższej Szkoły Morskiej gesty były od czekających na podnożenie mostów. Znieśliśmy między nimi nieco miejsca i przysiedli. Spójrzałem między koronami drzew na górny gzyms budynku Pałacu Zimowego, pełen rzeźb figuralnych i ogromnych wazonów z brązu. I one chyba wszystkie przed trzydziestu laty, po przerwanu blokady i odsunieciu od miasta niebezpieczeństwa, wykopywane były z chrońiącej je ziemi. Rzeźbom długi nawet okres przebywania w ziemi niewiele szkodził; z ludźmi jest zgoła inaczej. A przecież gdyby nie ludzie, nie byłoby ani tych rzeźb ani tych budynków, ani tego przedziwnego, niekrego miasta nad rzeką, miasta pod niebem, które w białe noce szarzyje tylko.

Srebrzysta szarość rozlewająca się nad rzeką, wypełniająca nadbrzeże, otulająca budynki po tej i tamtej stronie Newy wydała mi się nieco jaśniej niż przed godziną. Iglica na soborze Piotra i Pawła nie była już tylko ciemną, zaczęła jaśnić barwą bladego złota. Zrudział nieco ciężki dotychczas mrok przysadzistych bastionów twierdzy na Zajecznyj Wyspie okrytych płytami czerwonego granitu. Zielonych pasem trawy rosnącej w spojeniach między płytami kamienia jeszcze przez rzeke dotrzeć nie sposób; o tym, że rosna tam one na pewno, wiemy, bośmy je przed niespełna dziesięcioma godzinami, w pełnym jeszcze blasku przedwieczera widzieli. Stojące na strzale Wasilewskiej Wyspy kolumny też już przestają być jednobarwnymi sylwetkami widocznymi na tle zmatowiałego nieboskłonu, czerwien kamienia zaczyna oddzielać się już od zieleni brązu, z którego odlane są dżolby okrętów zatknięte w kamień. To tam właśnie, pod tymi kolumnami gotów był czekać na nas zakochany w swoim mieście młody marynarz.



Fot. Archiwum



# TEATR

## „BLOOMUSALEM”

„Bloomusalem” w warszawskim Teatrze Ateneum magnetyzuje teatromanów, wielbiciele Joyce’a, a także sporą liczbę snobów. Pierwsi szukają przeżyć teatralnych wysokiej próby, pamiętając przedstawienie „Ameryki”, zrealizowane przez tych samych twórców — Jerzego Grzegorzewskiego (inscenizacja) i Stanisława Radwana (muzyka), którzy teraz filmują afisz „Bloomusalem”. Czytelnicy „Ulisses”, rozchwytywane przed czterema laty z naszych księgarń, przechodzą skomponowane własne wrażenia, wymieszane z lekturej z teatralną wizją jednej tylko części książki, EPIZODU XV. A wreszcie, ambicją wielu warszawiaków jest być na przedstawieniu „Ateneum-Atelier”, odbywającym się o nietypowej porze: od dziesiątej wieczorem (nie na darmo nowa scena nazywa się też „nocna”), na przedstawieniu, na które trzeba się specjalnie starać o bilet i zapłacić odpowiednio dużo (w kasie siedemdziesiąt złotych), na przedstawieniu, które stało się głośne na długo przed premierą: planowane początkowo w podziemiach pałacu Ostrowskich założył obrotny reżysera dostała kilka zaproszeń z zagranicy (w maju gościła we Florencji), a twórczość Grzegorzewskiego budzi żywe zainteresowanie całej prasy.

Nastrojnym ożywieniem czy nawet podnieceniem jest w tej sytuacji czymś zupełnie naturalnym i zrozumiałym. Towarzyszy on bowiem zwykle

w sztuce zjawiskom nowatorskim, oryginalnym lub wyłamującym się z utartych konwencji. Dlatego piszę o stołecznych snobizmach bez ironii. Snobizm na literaturę, teatr czy jakąkolwiek sztukę przynosi społeczne korzyści, gdyż może zrodzić autentyczne nawiązanie uczestniczenia w kulturze. W każdym razie fakt, iż entuzjaści nowinek teatralnych oblegają spektakl dążyli do prawdziwie twórczy, zaniedbawszy

od kotary spływającej za plecami dzielnego rzędu aż do ścian ramy scenicznej. Zamknięta ze wszystkich stron ma tylko jedno wyjście — widok na scenę, która powoli wylania się z nieprzeniknionej ciemności. Nie podejmuje się opisywania wszystkich następujących teraz działań postaci (poczeczny od stęzającego w niesamowitym skurczeniu ciała, skrzywionej nieładnie, w sinawym świetle, grymasem twarzy Marka Walewskiego — Blooma), płynnych, symultanicznie rozgrywanych scen, doskonałej harmonii słowa, ruchu ludzkiego ciała, efektów plastycznych i muzyki, tak, jak nie sposób opowiedzieć treści „Ulisses”. Nieodparcie nasuwa się jednak wrażenie, iż wszystkie środki użyte w tym spektaklu, zespolone z taką maestrią, nie tylko trafnie oddają istotny, retoryczny sens Epizodu XV, ale jednocześnie tworzą celowy, precyzyjnie wyważony obraz teatralny o dużej sile oddziaływania.

Część pierwsza, zakończona szyderczą detronizacją i upadkiem Blooma, rozgrywa się na scenie. (Przynajmniej to, co można zobaczyć, bo np. swawolna piosenka Cissy Caffrey (Elżbiety Repińskiej) o „nodze kaczki” rozbrzmiewa zza świetla, grymasem twarzy i cichnie gdzieś w hallu. Także dzwinki muzyki rozlegają się z różnych stron i na różnej wysokości, m. in. z niewidocznego prawego balkonu. (Uczestnictwo widza jest tu więc tradycyjne, ma on przed oczyma rzeczywistość ułożoną, zaplanowaną do percepcji w taki sposób, jak w wielu innych spektaklach, gdy publiczność zajmuje określone bileta i miejsca i nie opuszcza ich przez czas trwania akcji na scenie. Mimo iż widz chłonie żywy, trójwymiarowy obraz, pozostaje on jednak o brazy, bo ujmuje go ekran ramy scenicznej, pozwalający śledzić akcję tylko z jednej, niezmiennej perspektywy krzesła na widowni).

Inaczej przebiega druga część „Bloomusalem”. Widzowie schodzą na dół, jak zwykle po skończonym przedstawieniu, albo w czasie przerwy (obok szatni jest bufet i palarnia). Prywatna atmosfera rozmów w szczytach po drodze do szatni, ukłonów i pozdrowień, zapalania papierosów, zostaje nagłe wchłonięta przez zaaranżowane na całym parterze teatru nocne życie dzielnic domów publicznych, królestwo Belli Cohen. Bo na dole dalej toczy się przedstawienie. Publiczność rozprasza się po

zakątkach foyer, śledząc wybrane sceny, ogląda z różnych stron przedzwane maszyny, wędruje wedle własnej woli, z miejsca na miejsce, przywoływana głosami aktorów, którzy na coraz nowym terenie wzniciąją akcję.

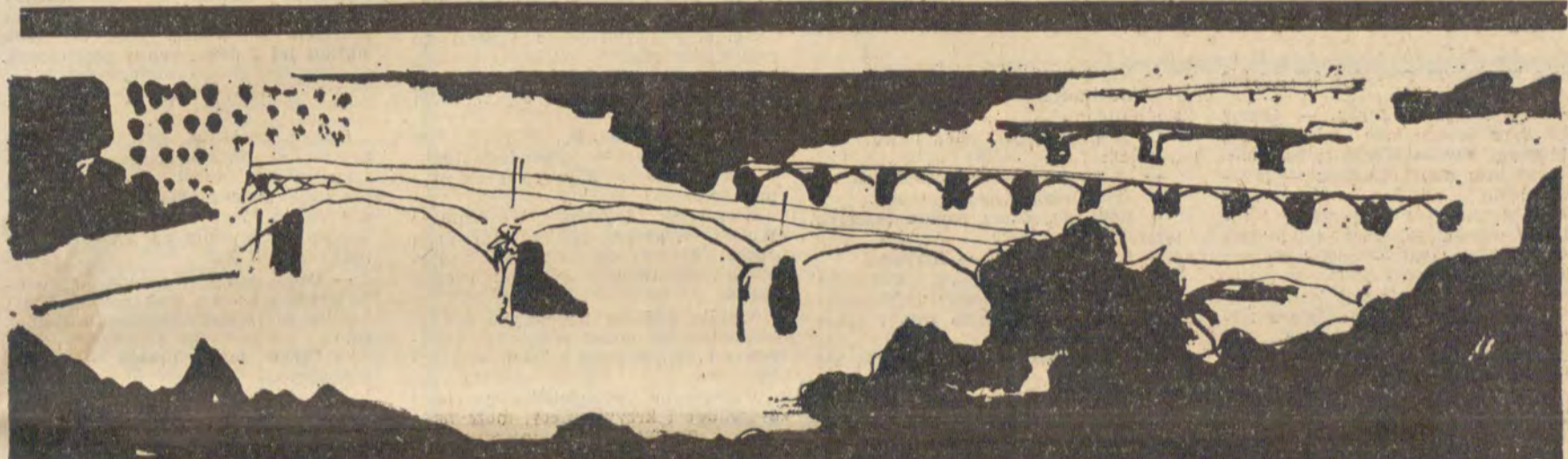
Z głębi salki, gdzie mieści się „scena 81” dobiega znekany głos Walewskiego — Blooma. W sąsiedztwie Blooma, wokół obryzanej bryły magła ustawionego pośrodku, chwycją się sprządańne dziewczyny (dwa spośród nich grają wybornie — Iga Cembrzyńska i Ewa Milde), podopieczne Madame Belli.

Stefan Dedalus (Andrzej Seweryn) wędruje wśród ramion szatni w centrum foyer, przekształconej (za pomocą rozwieszonych części wnętrza fortepianu) w niezwykle instrument. Gwar przychylnych rozmów publiczności przepływa pod kwadratami aktorów, w każdym miejscu przestrzeni dzieje się coś innego. Ruchoma maszynaria zbudowana na konstrukcji pantografu sunie korytarzem, przez rozsunięte drzwi widzi przez moment kilku mężczyzn, popychających przed sobą bocznymi korytarzami jakiegoś kłosa. Pod koniec publiczność ulega zbiorowej halucynacji, przytłumiona zgaszeniem i intensywnością bodźców, poddaje się lunatycznemu działaniu widoku.

Final następuje w ciemności. W ciemności bowiem wybuch awantury wieńcząca spektakl: wśród gwizdów i nawoływania policji, Bloom i Dedalus odnajdują się w tłumie widzów i po chwili ruszą, objęci, do wyjścia. Szpalier utworzony przez publiczność odprowadzi ich do głównych drzwi teatru, rozświetlonych reflektorami samochodu, który pojedzie za ulicą.

Tak kończy się widowisko, oparte na części najsłynniejszej powieści współczesności, trudnej, piekielnie ambitnej i zwycięskiej przedstawienie młodego łódzkiego reżysera, Grzegorzewski dokonał w nim rzeczy rzadko osiągalnej: w strumień mowy Joyce’a włączył i podporządkował sobie najwzajem dwa żywioły teatru — iluzję sceny i rzeczywistość widowiska.

ANNA  
KRAJEWSKA-WIECZOREK



# WIZYTA W PRADZE

Praga powitała nas ciepło... Czerwonym deszczem, orkiestrą na dworcach i kwiatami. Prosto z wagonu wpadliśmy w objęcia czeskich przyjaciół.

Na Starym Mieście tłumy turystów. Anglicy, Szwedzi, Niemcy, Rosjanie, Hindusi. Zegar na wieży wybija równą godzinę. Idą w ruch kamery filmowe i fotoaparaty. Zaczyna się procesja drewnianych figurzek zakończona pianiem koguta. Śmierć grozi nam kosa... Memento mori!

W Narodnim Divadle premiera „Cyryla de Bergerac”. W Cinohernym Klubie „Wiśniowy sad” Czechowa. „Mandradora” Machiavellego i „Na dzień”... Gorkiego. Przedstawienia idą ce od lat. Niektóre po trzydziestu pięciu przedstawieniach. Jedną z nich pt. „Niekłaman sukces Teatru Powszechnego”. Obławiamy go razem z tutejszym zespołem, w starwie, poklaskowanych piwnicach — na Strachonie.

Niektórzy z nas ruszają w nocną Pragę. „U Fleku” — staropraski kabaret literacki. Przy piwie! Wdzierzna, rozbawiona publiczność. „Laterna magicka” zamknięta. Nieczynna jest także „Alhambra”. W „Tatranie” program „Wymaż to tańcem” — rewista w stylu praskim. Pióra, pióra, pióra... Główna wykonawczyni uchrakteryzo-

wana na Lizę Minelli, chociaż film „Kabaret” jest tu jeszcze nie znany. Poza filmami rodzimych produkcji niezmiernym powodzeniem cieszą się tu stary, często wznawiany film Walta Disneya „Królewna Śnieżka i siedmiu krasnoludków”. Dla dzieci w TV polskie „Przygody Gąski Bałbinki”.

Gasną światła kabaretów. O pierwszej po północy gasną też reflektory oświetlające praskie pomniki, muzea i most Karola. Wracamy nocnym tramwajem, w którym, zresztą jak i w tramwajach dziennych, panuje miły zwyczaj pokazywania biletu przed skasowaniem współpasażerom. Jest już 29 czerwca.

Rano wycieczka do zamku w Kopnieszce, odległego od Pragi o 45 km, niedłży siedziby arcyksięcia Ferdynanda. Podziwiamy zbiory dawnej broni i trofea myśliwskie człowieka, którego śmierć w Sarajewie wywołała wybuch pierwszej wojny światowej. Polski obiad, oczywiście ze schaboszczakiem na cały talerz, w Rabinie i przejazdka stateczkiem po Welta-wie. Piękne, zalesione brzozy. Na wzgórzach moc kolorowych domków campingowych. Na rzece — pływają-

ce domki mieszkalne, motorówki i narty wodne. Z zadrócia wspominałmy z Tadkiem Paulem czas spędzony na jachtach, własnoręcznie zbudowanym przez Zdenka Kutla, kolegę-aktora z Teatru S.K. Neumanna.

Sobota jest dniem wolnym od pracy w całej Republice.

Po porannym łoku na szosach, teraz pod wieczór, pusło. Także Praga jest prawie wyludniona. Spoglądam na jutrzejszy rozkład zajęć. O godzinie 8.00 odprawa celna i lądowanie dekoracji. 13.00 odjazd autokarami na dworzec.

Na dworcu tłumacz polskiej literatury dramatycznej, Jaroslav Simonides, wręcza mi na odjeździe moje dwa praskie wiersze, przełożone na czeski. Mają się ukazać w prasie literackiej. Odprowadzający nas przyjaciele stawili się w komplecie. Pożegnaliśmy się spełniami piwem w plastikowych kufkach.

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI



Fot. Archiwum

Lizy do redakcji

## PUDŁO WAWRZYŃCU PUDŁO!

Motto: „Tu dwa trupcy a tam adobn Nie do przyjęcia plan”.

Najpierw rekrut z butelkami wina w rękach śpiewają piosenki. Rżewne, rzewne, bo do wojska iść musza. Lęk wiozeczka i pioseneczka. Hej, doło żołnierska, doło. Rekrut Franek kocha Marysę, córkę bogatego Lizala. Bogatego, ale niedobrego. Oj, niedobry, niedobry ten Lizal. Chce on Marysiecnie za wdowca wydać. Stary Wawrzyńcze, dzieciątku, ale bogaty. Pazyry tak. Nie doć. Że Marysye chce brać, to i o posag się kłóci. Stoją chłopcy w ehalupie i się ukladają. W koźuchach stoją, choć w ehalupie — widać coś tam z nich z głośnością nie tego, albo z opalem. Stoją tak chłopcy po chłopku i gadają. Cztery tysiące, 3,5 tysiące, 4 tysiące, 3,5 tysiące i w końcu szanę na 3.700. Rece sobie na zgodę podali. Tatuło w międzyczasie wyoznił Franek i rekrutu, co się z Marysijką zagnań przysylł. Ale Franek chwiał, dzielnie chłopisko, tatuło Marysijkę podstępem z ehaty wywołana a sam hyc przez okno do dzieł wuchy. I dalej ścisnął ją pod się punktówką. A ona na to — „Czego chcesz?” (that is the question) — tak się pyta, zalotnica jedna.

Potem to baby namawiają Marysye, by za wdowca posła. Siedzą baby rozżalone, babinaste, babuski taktie, rozżalone po wslowemu. Czasem która garbiący się poszura nogami po łbie. Siedzą baby, jak chustki mają to je poprawiają, jak nie mają to nie poprawiają. Siedzą baby, ręce zalamują. A ona furt o Franku, Oj, zdenerwowało to cłotkę, mówi — ja też miałam swojego Franciszka. No pewno, każda ma swojego Franciszka. Matulu też dziecko swe urocze namawia w placu biskim, lament tak wpużając. Bo ciska niedzielnica. Aż tu się Marysika przelamuje i za Wawrzyńca idzie. Ludzie się śmieją i na przerwe idą.

Franek z wojska wcześniej wypuścił. Siedzi teraz z chłopkiem w karczmie. Siedzą chłopcy po chłopku, rozszedłali, w koźuchach (Franek nie, bo biedny). Czasem który garbiący się poszura nogami po łbie. Kuleją jak mają laske, jak nie mają to nie kuleją. Ale najcieśniej siedzą. Oj jak siedzą, nie kar czernemu, a jak który wino na stół postawi, to aż się, ono na bok rozehłusta. A potem to wasy ociera, żeby było tak, jak naprawdę, po chłopku, tak prawdziwie, no tak... jak celofan w oknie dekoracji. Siedzą chłopcy — jeden mówi, że jak bogaty bogata weźmie to ją bje. Dziwują się chłopcy. Przychodzi matka Franeka. Oni ja w niem czestują. Spija babina duchem szklanicę, ogólna wesołość na scenie i widowni budzą, tak że ja nawet chłopcy poklepują. Oj jak ja kłepną to już radość zupełna. Siedzą chłopcy, siedzi i Lizal. Narzeka, o narzeka, na Wawrzyńca narzeka, bo go ten do sądu skaryje będzie, że mu còrkę dał a o posagu widać zapomni. Nie lubię się już, nie lubię. Patrz, na siebie jak dwa stare koguty, zezują, zgrzytają zębami i nagłe hyc pod punktówkę nogami odkroczyli do tyłu stojąc za klapy, za bary się chwytają, ucapiają. Bugot i charkot z gardła im się do bywa. Ogólna wesołość (na widowni).

A Marysika w domu. Przychodzi do niej Franek namawiać by z nim do Brna uleciała. Nie chce, tull się do niego, najpierw pod punktówką a potem pod pleceem, całują się tak, że aż użeszliwiona część publiczności poklepuje, pomlaskuje, że takie frywolności na scenie pokazują. Oj, dowcipnisi! Franek się z Marysijką umawia pod mlynem, albo nie umawia, ale to nieważne. Przychodzi stary Wawrzyńcze, pijany. Ciska się, ciska i przyjać chce słuzęc, że Franeka do domu wpuścila. Potem dubeltówkę zaa sceny przynosi, nabija i hyc w pogoż za Fransiem. Huknęło, grzmotnęło za kulislami aż dwa razy i dobiega głos Franuska, który wyślania widom: „PUDŁO WAWRZYŃCU PUDŁO!” (to poproszę lustym drukiem). Wraca wściekły Wawrzyńcze po nabole, ale już mu Marysika drzwi pierwszą zastawia, że on nie pójdzie, i on nie idzie. Jak to się skończy? Jakże zniada rozwiazanie te problemy masowe, powszechne i współczesne? Czy lampka, czy lehtarzem czy siekiera uspokoi Mania męża? Nie, nieczym takim, truzienka, truzienka! Thuze ja w modziędu, namietnie fluze, a potem do kawy porannej, zbożowej dosypuje On wypija. Najpierw na amory mu się zbiera. Jeszcze chce ratować rodzine. Ja późno. Wychodzi za scenę i tam dokonuje żywotu swezo. Baby wpanują i żeby nie było wspanilowości Marysika wyślania: otrulał go! Jest. Jeden trup jest. A drugi gdzie? Rozwiazania zagadki należy szukać wewnątrz numeru.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

P.S. Albo nie, albo nie — rozwiazanie podaje już: „Dziwoczyna na sprzedzie” Alois i Vilém Mrztkowiec, reżyseria Vaelav Lohmisky, Teatr Powszechny w Łodzi.

## SPOSÓB

Zaiste perfidny sposób zalawiania reklamacji obrał sobie dom meblowy DOMUS w Łodzi. Ono otrzymałem swego czasu pismo następujące treści:

Uprzejmie prosimy PT Klienta o skontaktowanie się w terminie 5 dni z Domusem (Reklamacja w Łodzi, ul. Piotrkowska 190, tel. 638-77 do 82 w. 19) w celu uzgodnienia terminu odbioru lub naprawy wadliwych mebli. Jednocześnie nadmieniamy, że w przypadku odpowiedzi na nasze pismo w określonym czasie będziemy reklamację akredyt z naszej ewidencji.

Z-ca Kierownika Domu Meblowego podpis niezbytelnny

Oczywiście DOMUSOWI chodzi o to, że jak NIE bierzemy odpowiedzi, to skreślą z ewidencji.

Poza tym mam inną wspanilowość: A jeśli klient jest chory, w szpitalu lub w podróży służbowej, to co wtedy?

STANISŁAW WORKIEWICZ (Łódź)

„BĘDZIESZ ZAWSZE PAMIĘTAĆ...”



Fot. Archiwum

Szczerbata walita pięściami w drzwi, lisy belkotal...

- Gdzie się mam bawić, jak porządnego człowieka nie chcą tu wpuścić...

- Zamknij się, Lotuś, bo cię zgarbiam...

- Ech, głupia, przecież ja za swoje...

Do szczerbatej dołączyły się jeszcze dwie dziewczyny. Gruba blondyna wrzeszczała:

- Wez Lolka do chaty. Nie zna się na sztuce, wszystkim popsuje zabawę.

Była północ. Coraz więcej ludzi gromadziło się przy wejściu do „Casanovy”. Zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach stanął młody człowiek w niebieskiej liberii. Wpuścił do środka kilka osób. Szczerbata i Lolusiowi zatrzasnął drzwi przed nosem.

- Pan ubrał się jak do piłki. Takiach tu się nie wpuszcza. Trzeba w wizytowym „anzugu” - pouczał biletiera chłopaka w czerwonym swetrze.

- Ja pierwszy raz. Wpuść pan. Zapłać - skamlał chłopak.

Pan Jurek taksował gościa fachowym okiem fizjonomisty:

- Pani powinna mnie znać - zagadnął szarmanek, oferując mi swoje usługi przy szatni - byłem kiedyś podobno dobrym bokserem. U Drogoza trenowałem, w „Blekitynych”.

Robię zachwyconą twarz kibica.

Jakże mogłabym przyznać się, że nie znam championa ringu?

- Rączka, panie Jurku. - Gruby mężczyzna przede mną odwrócił się zainteresowany. - Wtedy to był boks, a teraz sam pan rozumiesz - przyliżywał się.

- Wykupuj pan konsumpcję i nie udawaj znajomego. Tacy tylko tłok robią przy wejściu - odciął się pan Jurek.

Muzyka dobiegała z sali, kusiła. Ludzie chcieli szybko uporać się z formalnościami przy wejściu.

Pan Jurek „po protekcji” posadził mnie przy stoliku obok parkietu z napisem „reserve”. Nad tańczącymi różowo świecił szklany pulap.

- Bidula, taka samotna - seplenął w moją stronę szpakowaty od sąsiedniego stolika, rzucając wymowne spojrzenie.

- Nie wygłupiaj się, nie widzisz, narzeczony ją rzucił, daj spokój, niech siedzi - strofował kompana siwy „gentleman”.

Pojawił się kelner. Zawodowy uśmiech. Menu?

- Może indyk z brzoskwiniami? Befszyk z pieczareczkami? Mamy duży wybór koniaków: AMBASADOR, NAPOLEON?

„Poczułam się”, ale trzeba jeszcze spojrzeć w kartę...

- To już może raczej śledź w śmieciach i kieliszek „Palinki”...

- Nie z kuchni?

- Odehuczam się - uśmiechnęłam się najładniej.

Ci z sąsiedniego stolika nawoływała kelnera:

- „Polówkę „żyta” i cokolwiek na ząb, tylko szybko, panie szefie.

- Robi się. Zaraz podam befszyk tatarski. Woda też?

- A jasne, że też - krzyżeli. Szpakowaty wychylił duszkiem ostatni kieliszek z poprzedniej półfirówki, przetarł palcem usta i zagadał do sąsiada:

- Bo, widzisz Rysiek, ze mną się liczą.

- A ze mną to co, sroce spod ogona wyleciałem?

- Skończcie, chłopaki, dupa potrzebna, trzeba coś zorganizować - uciął ten trzeci, pozbawiony widocznie zawodowych atutów.

- Miałem taką jedną „rurę”, ostrą była - cmokał - „rzuciłem ją”. Nie chciałem się wiązać. Mam rodzinę. Stara jakby mnie dopadła, leć by mi ukręciła.

Czwarty zerwał się raptownie od stolika. Po chwili targał już na parkiet dziewczynę w kusej spodnicy.

- Ten to ma szwum - powiedział ponuro szpakowaty.

Orkiestra przestała grać. Czwarty przyprowadził dziewczynę do stolika. Gentlemani umieli się znaleźć; całowali w rączkę; głośno wymieniali

nazwiska, tytuły, koneksje. Panienka chichotała.

- Ale z was paniska, ho, ho. - A co myślałaś, że z byle kim masz do czynienia?

- Przyprował koleżankę - niecierpliw się szpakowaty. - Jedna na tyłu? Żadna zabawa - zawyrokował.

Dziewczyna nie miała ochoty niko go przyprował. Wychyliła jednym haustem „pięćdziesiątkę”, i spojrzała na kieliszek. Napelnił go skwapliwie. Potem następny. Atmosfera robiła się belkotliwa.

Usytuowani „władcy tego świata” ślinili się kokietliwie. Rysiek nie zasypiał gruszek w popiele. Chwytał panienkę za głowę, usiłując przeciągnąć przez jajka w majonezie na drugą stronę stolika. Pienienka pischcała.

- Leć mi urwisz, ty Kozaku, ale za bluzkę zapłacisz.

Rozmowa stawała się profesjonalna...

Przy stoliku z prawej, kędzierzawy chłopak o barach kultury, zachwalał się pulchnej blondynie:

- Ja tu przejeżdżam, każdy mnie zna, artysta jestem z Krakowa. Zawsze ja wiedział: żyje się tylko raz.

- Łapcie to ty masz takie wiecej od murarki. Tu każdy zrywa się na artystę - kpila blondyna. - Wczoraj jeden taki z delegacji odwiedził Francuzka. Po polsku przemówił dopiero przy rachunku. Zegarek chciał zastawić, jak kierownik lokalu przyszedł. Wydawało się wtedy, że on Francuz...

Chłopcy tymczasem grali stary szlager. Solista miękkim tenorem zaklinal: „...nie zapomnisz mnie, będziesz zawsze pamiętać...”

Ostro ruszyli do tańca ci od sąsiednich stolików. Szpakowaty dorwał wreszcie tę w kusej spodniczkę. Mocno ścisnął ją w biodrach. „Artysta” z Krakowa - blondynkę - i tak stracił na jakiś czas obiekty reporterskiego zainteresowania. Patrzyłam na parkiet. Z łatwością odróżniałam na nim chłopców, którzy przed paru zaledwie miesiącami odbierali świadectwa dojrzałości, panów „na delegacji”, panienki lekkiej conduity i „władców świata” - prywatnie zresztą.

Kelnerzy bezszelestnie krażyli po sali. Coraz częściej zmieniali obrusy, nosili ciężkie tace, pełne jadła. Jakiś blady młodzien ukił się w moją stronę:

- Pozwól, madame...

- Nie tańczę - odpowiedziałam.

- Kulawa? - dopytywał się następnym.

Kierownik lokalu, Włodzimierz Wolski, wyszukał spojrzeniem pana Jurka. Zjawił się natychmiast. Pomógł „zalatnikowi” odnaleźć własny stolik.

Wybiła godzina trzecia. Zaczął się kulminacyjny punkt programu: minirewia „...striptis (po polsku - zresztą).

Dziewczyna w głęboko rozciętej spodnicy wbiegała tanecznym krokiem na parkiet. Niskim, chrapliwym głosem śpiewa: „A ja ciebie nie oddam nikomu...”

Niknie. Pojawia się krucha brunetka z muskularnym chłopakiem. Chłopak trzyma w ręku pejs. Orkiestra gra „Złotą panterę”. Trzaska pejs, dziewczyna wije się u nóg chłopaka. Wydaje się, że jeden nieopatrzny ruch wystarczy, by smagnięcie sięnęło twarz dziewczyny. Numer jest cyrkowy, nieco nawet jarmarczny. Ale działa. Podniecenie sali wzrasta. Ktoś nie wytrzymał i krzyczy:

- Mocniej!

- Zostaw ją!

Zawodowi tancerze uśmiechnięci i promienni kłaniają się gościom. Za

chwile wysoka, smukła dziewczyna z odkrytym brzuchem tańczy „Zabawę na śniegu”. Jednym ruchem zrzuca bluzkę.

Oklaski? Nie tylko. Gwizdy, młaskanie również. Ot, samo życie nad ranem...

Graj „Lady Madonne”. Dziewczyna tańczy. Mężczyźni milcząco patrzą, niby zahipnotyzowani. Zrzuca z siebie kolejno detale ubioru. Staje naga - z pomarańczą w dłoni. Jej twarz przypomina rafaelowską madonnę. Jest nieobecna, tajemnicza jak mgła - jak gdyby z innej epoki. Wciąż tańczy naga. Zbliża się do najbliższej łoży naprzeciw parkietu, skąd cherlawy mizerak z czarną brodą żebrało wyciąga ręce. Dziewczyna daje mu pomarańczę. Mizerak trzyma tę pomarańczę w dłoniach, jest zafascynowany, nie potrafi ukryć... szczęścia.

Zobaczyłam go po chwili ponownie, gdy usiłował wtargnąć za striptiserką do zaplecza lokalu. Podawał się nawet za redaktora poważnej gazety. Machał jakąś legitymacją. Czterej dzielni chłopcy zвычайni takich scen, stanęli mu naprzeciw. Przecząc kiwali głowami. Cherlak z czarną brodą był po pijacku nieustrasliwy. Chłopcy szybko i grzecznie sobie z nim poradzieli.

Lokal pomału pustoszał. Przy stoliku, obok wejścia, siedziała stara kobieta w niebieskawej sukience. Miała rzadkie, zlepięone włosy, nalaną twarz, smętne nieruchome oczy, utkwione w butelce po wódecie. Siedziała tak od otwarcia „Casanovy”. Widziałam, że przez jakiś czas towarzyszył jej starszy pan z siwą brodą, ale i on sobie już dawno poszedł.

Przypomina mi „Olimpię” - pomyślałam o modelce francuskiego impresjonisty. Spotkał ją po latach w obskurnej knajpie i poczesował talerzem rosolu. Nie zdawał sobie sprawy, że kiedyś ta kobieta była ozdobą Paryża i jego muza.

Pan Jurek zna tę „Olimpię” z „Casanovy”.

- Handluje lodami na jednym z lódzkich targowisk - objaśnił. - Niektórzy mówią, że była kiedyś piękna. Przyszła tu dziś utopić nie-szczęście w wódecie. Mąż - alkoholik ukradł jej z domu cenny pierścionek.

\* \* \*

Czyste powietrze letniego poranka przyjemnie owiało mi twarz. Tramwaje wiozły ludzi do fabryk na pierwszą zmianę. Spotykałm po drodze gościa z „Casanovy”. Joanna, striptiserka, mija mnie na rogu Zachodniej i Próchnika.

- Dzień dobry - mówię. Proponuję wspólny spacer. Twaz Joanny jest inna w pierwszych promieniach słońca.

- Czeka mnie pranie - mówi dziewczyna.

- Lubi pani striptis? - zmieniam temat.

- Po prostu pracuję - uśmiecha się blade Joanna.

Chłod poranka. Milczymy.

- Dlaczego? Jest przecież tyle innych zajęć.

- Dużo zarabiam. Matka ciężko chora, przerwałam technikum, ale znowu zacząć się uczyć. Całe życie nie można pokazywać ciała.

Taka bywa proza.

Mijają nas znowu jacyś zapóźnieni goście „Casanovy”. Niewiele zostało już godzin snu tym, którzy będą zalatwalni dziś delegacyjne sprawy. Ale nie da się ukryć, że kumplom zwieryją się z nocnego ubawu, zaklinają, aby nie zdradzili ich przed zonami.

ZBRODNIARZE NAD MAPĄ EUROPY

OD POCHODU NA WSCHÓD - DO UCIECZKI NA ZACHÓD (III)

Dalszy ciąg ze str. 6.

boda działania. W tej chwili Niemcy znajdują się u szczytu swojej potęgi. Dziś jesteśmy jeszcze w stanie prowadzić rozmowy...

W ogólnych zarysach naszkicowałem stosunek sił na świecie, tak, jak to widziałem. Himmler wciąż milczał, ale najwyraźniej moje argumenty zaczęły go interesować. Od czasu do czasu kiwnięciem głowy zachęcał mnie do mówienia. Po półtorę godzinie, gdy powiedziałem już wszystko, zadał mi poprzednie pytanie tylko w cokolwiek innej formie:

- Jak pan widzi, właśnie w tym celu pytam pana: w jakiej szufladzie biurka ma pan „zastępcę rozwiązania”?

Himmler podniósł się szybko z fotela i zaczął chodzić po gabinecie, tam i z powrotem. Następnie zatrzymał się i rzekł:

- Do czasu, aż ten idiota Ribbentrop cieszy się zaufaniem Hitlera, nie

nie zdołamy zrobić. Po czym, przybierając pozę egzaminatora, spytał:

- A czy mógłby pan tak przeprowadzić sprawę, żeby nasi przeciwnicy nie wzięli tego za oznakę słabości?

Odpowiedziałem, że jest to możliwe.

- Bardzo dobrze. Ale czy jest pan przekonany, że cała ta akcja nie obróci się przeciwko nam? I nie wzmocni jeszcze bardziej dążenia państw zachodnich do zacieśnienia więzów ze Wschodem?

- Wprost przeciwnie - odpowiedziałem. - Jeśli rozmowy zostaną pomyślnie, zażegnają tę groźbę bardzo szybko.

- Doskonale! - podsumował Himmler. - Ale w jaki sposób urzeczywistni pan swoją ideę praktycznie?

Wyjaśniłem mu, że podobnych akcji nigdy nie można przeprowadzać drogą oficjalną, ani też dyplomatyczną, że powinny być prowadzone za pośrednictwem politycznych organów tajnych służb, ponieważ w wypadku

niepowodzenia, osoby skompromitowane mogą się oficjalnie wszystkiego wyprzeć. Ponadto najważniejsze jest to - ciągnąłem dalej - żeby strona przeciwna wiedziała, iż przedstawiciel, z którym prowadzi rozmowy, ma poparcie wpływowej władzy. I jeśli tylko on, Himmler, zgodzi się, żeby być taką władzą i obieca mi neutralizację Ribbentropa do Bożego Narodzenia 1942 roku, będę mógł nawiązać kontakt z państwami zachodnimi...

Himmler zaaprobował mój plan. Następnie powiedział:

- Tak więc uzasadnił pan konieczność „zastępczej decyzji”, konieczność alternatywy, a także wyjaśnił pan zasady wykonania tej decyzji. A co pan powie o konkretnej sytuacji, która by pozwoliła na osiągnięcie takiego kompromisu?

Odpowiedziałem ostrożnie:

- To jest właśnie to, co powinno się kryć w jednej z pańskich szuflad.

Tym razem przyjął moją uwagę zycyliwie.

- Doskonale - powiedział Himmler - może zaczniemy od Anglików?

- Znakiem - odparłem. - Z informacji, które posiadam, Anglicy pragną co najmniej naszego wycofania się z północnej części Francji.

Nigdy nie zgodzą się na obecność niemieckich baterii na wybrzeżu, w rejonie Calais.

- A zatem nie wierzy pan w wielki sojusz między nami i tym pokrewnym nam narodem?

- W najbliższej przyszłości nie - odparłem. - Droga, która prowadzi od stanu wojny do sojuszu, poprzez kompromisowy pokój, jest długą drogą, bardzo długą.

Himmler przyjął moją odpowiedź kiwnięciem głowy.

- Dobrze! A takie niemieckie obszary, jak Holandia i Belgia?

- Będą przedmiotem rozmów - powiedziałem. - Ale uważam, że powinniśmy zwrócić tym terytoriom ich pierwotny status. Jednakże, jeśli obstaże pan przy rasistowskiej koncepcji, to nasi oddani przyjaciele mogliby znowu zostać włączeni do Niemiec.

Himmler nerwowo rysował ołówkiem na mapie, obwodząc Holandię, niektóre części Belgii i północną Francję, jak gdyby te terytoria były wymienną monetą...

- Tak! No, a Francja?

- Ideąnym rozwiązaniem - odpowiedziałem - byłaby ekonomiczna integracja niemieckich i francuskich interesów. Uważam za konieczne przywrócenie Francji politycznej niezależności; później zbliżyłaby się

ona do Niemiec, to jest pewne. Francja wraz z jej kolonialnym imperium przysporzy Niemcom ogromnych korzyści. Dlatego nie powinniśmy ulegać wpływom teoretycznych koncepcji i politycznej niechęci. Niech pan weźmie na przykład Alzację, pan o tym nie wie, ale ja sam pochodzę z Saarbrückenu i wiem po sobie, jaki błąd popełniła Francja przyłączając Saaryę po Traktacie Wersalskim.

Himmler z bólem serca obrysował zielonym ołówkiem terytorium Francji. Później, patrząc na mnie, znowu zapytał:

- Pan przypuszcza, że Anglicy byliby zadowoleni z takiego rozwiązania?

Odpowiedziałem, że nie mogę już dziś przesądzać stanowiska rządu brytyjskiego, ale wydaje mi się, iż Anglicy zgodzą się na rozpatrzenie tego problemu, bowiem, co by ich szczególnie interesowało - to kształt tej nowej Europy...

Himmler przerwał mi nieoczekiwanie:

- Dobrze! Zostawmy to...

Zwrócił spojrzenie na Szwajcarię i dotknął ołówkiem miejsca na mapie, w którym znajdował się ten mały kraj.

(Dalszy ciąg nastąpi)

„NEW SWEEK” — Nowy Jork

Nie można powiedzieć, żeby wydarzenia w Portugalii nie odbiły się echem w Makau. Aktywni miejscowi środowiska portugalskich szybko stworzyli organizację pod nazwą „Demokratyczny Ośrodek Makau”, zażądali swobod demokratycznych i likwidacji państwowych organów ucisku i represji. Po raz pierwszy w historii Makau rozległy się głosy protestu. Redaktor pewnej gazety zażądał „wypowiedzenia wojny” gubernatorowi Portugalii w Makau i oświadczył, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby zmiażdżyć „jedyną pozostałą komórkę faszystów w świecie portugalskim”. Jednakże większość Chińczyków — mieszkańców Makau odżegnuje się od portugalskich aktywistów, nazywając ich „kameralnymi politykami”, których poglądy nie mają nic wspólnego z „rzeczywistością”. „Sa dokuczliwi jak komary w lecie” — powiedział pewien chiński mieszkaniec Makau. Nawet wtedy, gdy dwóch Portugalczyków udało się do Lizbony, by zażądać usunięcia gubernatora Carvalha, pekinijski reżim dał niewyznacznie do zrozumienia, że życzy sobie w Makau starych porządków. „Gubernator zrobił wiele dobrego dla Makau” — powiedział He Ni, multimilioner, odgrywający tutaj rolę półoficjalnego przedstawiciela Pekinu. — Nie odpowiada on stereotypowemu modelowi kolonizatora... Wytworzyła się szczególna sytuacja, kiedy w portugalskiej kolonii, Pekin popiera stary, faszystowski porządek.

„L' EXPRESS” — Paryż

Lider wojskowej junty chilijskiej, Augusto Pinochet, po decyzji o objęciu funkcji prezydenta, wygłaska na wielce z siebie zadowolonego: w ciągu dziesięciu miesięcy od śmierci prezydenta Salvatore Allende, w Chile mówi, że już i ustala prawa wojsko, tylko wojsko. Prasa została „wyciszyszona”: w Santiago ukazują się zaledwie cztery gazety, 500 dziennikarzy pozabawiono pracy. Partie polityczne zostały rozpedzone i zakazane, włącznie nawet z partią chrześcijańsko-demokratyczną, która miała nadzieję na flirt z armią. W obozach koncentracyjnych i więzieniach, od Dawson na południowym krańcu Chile aż po pustynię Atacama na północy — byli przywódcy polityczni, aktywiści lewicy i w ogóle „wszyscy podejrzani”, czekają na sąd. Trybunały wojskowe — „pracują bez zatrzymywania”, teraźniejsi sąrowi wyroków. W początkach lipca kolejnych sześciu postępowych działaczy politycznych skazano na śmierć, nie mówiąc już o niezliczonych wyrzuceniu więzienia. Wkrótce przed sądem stanie szereg przywódców Zjednoczenia Narodowego, a wśród nich generalny sekretarz Komunistycznej Partii Chile — Luis Corvalan. Opór przeciwko juncie wolno ale nieustannie przybiera na sile. Inflacja galopuje: jej wzrost tylko w styczniu tego roku wynosił 16,4 proc. Niepohamowanie rosła cena za produkty żywnościowe. Ekonomiczne trudności pogłębiają się z każdym dniem. Do końca 1975 roku musi być zwolnionych z pracy 100 tys. pracowników, co rzekomo pozwoli na „wyrównanie budżetu aparatu administracyjnego”. Już teraz na nierzwiach miast i w wsiach spłyka się głodujących ludzi, szukających w śmietnikach odpadków pożywienia. Kilka tygodni temu gen. Pinochet odwiedził kopalnię miedzi „El Teniente”, gdzie rzekomo nastąpił wzrost produkcji. „Wziąłem tam kąpiel szeześciu” — wyraził się generał. Jednak — że w portierni „El Teniente” żołnierze w dalszym ciągu trzymają robotników na muszce karabinów, wbrew ówczesnym szeześliwym” niż lider junty. Maske zadowolona na twarzy generała Pinocheta widać coraz rzadziej. Kiedy na przykład spytały go o rozmiar represji, stanowczo odmawia odpowiedzi. W taki sam sposób reaguje na pytanie o możliwości wyborów: „Może za dwa lata, albo za pięć, a być może — za dziesięć”. Możliwy to samo powiedzieć bardziej zrozumiale: „Nigdy”...

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — Paryż

Amerykańska firma „Occidental Petroleum Corporation” i trzy instytucje handlu wewnętrznego ZSRR podpisały 28 czerwca — w drugim dniu radziecko-amerykańskich rozmów na najwyższym szczeblu w Moskwie — długoterminowe porozumienie w sprawie produkcji i dostaw preparatów chemicznych. Jak powiedział prezydent „Occidental” — Armand Hammer — zawarte kontrakty sięgają 20 miliardów dolarów i przewidują budowę szeregu fabryk w ZSRR z amerykańskim udziałem. Ponadto „Occidental” wzięła na siebie projektowanie, budowę i wyposażenie portowych urządzeń w ZSRR, służących do transportu produkcji tych fabryk.

„Bank”, „Bank”, „Bank”... Słowo to powtarza się wszędzie, rzuca się w oczy na frontonach starożytnych pałaców i stalowo-betonowych gmachów o współczesnym rysunku architektonicznym, szarych, zimnych jak kolumny cyfr bankowych rejestrów.

Na ulicach Berna, Genewy, Lugano czy Zurychu nie sposób pozbyć się uczucia niepokoju w tym zamkniętym kotle. W Bernie posępny gmach Konfederacji Szwajcarskiej na Bundesplatz, skupiający w sobie wszystkie pokraczne cechy architektury minionego stulecia, otacza pięć wielkich banków: Leu und Co, Schweizerische Bankgesellschaft, Schweizerische Bankverein, Schweizerische Kreditanstalt, Schweizerische Volksbank. Sąsiedztwo to jest nie tylko curiousum dla turystów, lecz także symbolem układu sił.

W Zurychu imponujące gmachy wielkich domów bankowych Konfederacji stoją przy Bohnhofstrasse. W większości są to masywne budowle, jak na przykład ogromna, podparta kolumnami świątynia grupy finansowej Union de Banque Suisse. Wyjątek stanowi dziwny, ale przynajmniej jasny gmach Banque Leu, który do tego towarzyszywa jako nie pasuje.

W Szwajcarii bogactw nie wystawia się na pokaz, gromadzi się je i chowa. Fasady są surowe, lecz skarbce pełniącej od pieniądzy. W 1972 roku bilans pięciu wspomnianych już największych banków — pięciu potworów, jak określił je socjalistyczny poseł Jean Zigler, wynosił 121,6 miliarda franków szwajcarskich, przewyższając wartość globalnego produktu narodowego Federacji o 6,6 miliarda franków szwajcarskich!

Szwajcaria z jej 72 bankami i 4.400 biurami bankowymi, — średnio 7 biur bankowych na 10.000 mieszkańców — dysponuje jedną z najlepiej zorganizowanych sieci bankowych w świecie. Lugano, malowniczo położone na brzegu jeziora o tej samej nazwie, raj zachodniemieckich i włoskich miliardów, skupia 35 biur bankowych na 30.000 mieszkańców. Ale absolutny rekord światowy bije miasteczko Valle, gdzie na 10.000 mieszkańców przypada aż 16 banków...

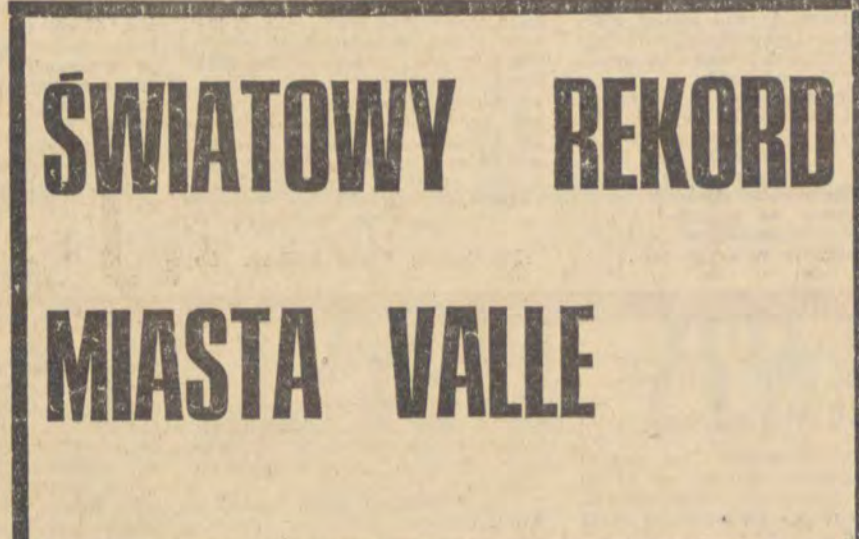
Zagraniczne kapitały, przyciągane tradycyjną polityczną i walutową stabilizacją Szwajcarii, jej statusem kraju neutralnego, przez wiele lat płynęły szerokim strumieniem do podziemi banków szwajcarskich. W 1970 roku zagraniczne kapitały w Szwajcarii osiągnęły kwotę blisko 86 miliardów franków. Władze republiki uważały to za zjawisko pozytywne.

Wstrząsy walutowe ostatnich lat i spowodowane przez nie przesunięcia kapitałowe zmieniły sytuację. Konfederacja Szwajcarska jest wprawdzie również i dziś niezawodnym skarbcom kapitałów, ale nie można jej już nazwać „oazą zbawienia”, jaką była ongiś. Strumienie dolarów zalewających szwajcarskie banki z

każdym atakiem spekulacyjnej gorączki zmusiły władze szwajcarskie do podjęcia zdecydowanych kroków zabezpieczających. Dążąc do powstrzymania napływu zagranicznych kapitałów, rząd w Bernie postanowił w 1972 roku zabronić cudzoziemcom kupowania szwajcarskich papierów wartościowych oraz nieruchomości. Szwajcarskie obligacje pożyczkowe można kupować wyłącznie za wiedzą i zezwoleniem władz. I wreszcie zdumiewająca innowacja, jeśli chodzi o kraj o takich liberalnych tradycjach: depozyty osób nie zamieszkałych w Szwajcarii obciąża się dwuprocentowym podatkiem kwartalnym, płatnym z góry. Zastrzeżono również kontrolę wpływów zagranicznych kapitałów.

Wprowadzenie tych środków ochronnych, z punktu widzenia Republiki, jest uzasadnione. Na przełomie lat 1972—1973 tempo inflacji przekroczyło 7 procent. Takiego wzrostu cen w Szwajcarii nie zanotowano jeszcze

wych konfliktów”. To hasło rzucone 500 lat temu przez Nicola de Flue, w okresie wojen burgundzkich, stało się przewodnią myślą polityki szwajcarskiej. Ale nigdy jeszcze neutralność Szwajcarii nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie jak w latach 1939—1945. Próba, którą wytrzymał kraj przez okres tych koszmarnych lat, pozostawiła głęboki ślad w świadomości Szwajcarów. Solidarność, przejawiająca się w momentach niebezpieczeństwa, zwiększyła podejrzliwość wobec wpływów zewnętrznych oraz dążenie do zamknięcia się w sobie. Tendencje do wyzniesienia pod niebiosa zalet „zbawionego izolacjonizmu” są jeszcze silne, jednakże dziś nie znajdują tak powszechnej aprobaty jak niegdys. Szwajcarzy zaczynają rozumieć, jak bardzo wzrosła współzależność państw i niedorzeczność uczestniczenia w sprawach międzynarodowych, wychodzących poza ramy humanitarnej działalności Czerwonego Krzyża.



nigdy. Odtąd legendarna stabilizacja szwajcarskiej waluty należy do przeszłości. W kraju pozbawionym użytecznych surowców, stałoby waluty zastępowały surowce przemysłowe. Ani bankierzy, ani rząd nie ukrywają niepokoju z powodu skomplikowanej sytuacji. „Inflacja zagraża całemu systemowi kapitalistycznemu” — wyznaje Alfred Schaffer, prezes Schweizerische Bankverein.

Walka z inflacją stała się pierwszą i największą troską rządu. W 1973 roku zapadła decyzja w sprawie ograniczenia kredytu. W styczniu tegoż roku bankową stopę dyskontową podwyższono z 3,75 procent do 5,5 procent, co jest wyjątkowym zjawiskiem w kraju, którego reputacja finansowa pozwalała mu na ustalenie najniższej stopy dyskontowej. W kraju wprowadzono system kontroli cen, żeby zapobiec nieuzasadnionym i niepohamowanym wzrostom. Prowadzi się także obserwację wynagrodzeń i dochodów.

„Nie mieszają się do międzynarodowych

Dzisiaj minister spraw zagranicznych Szwajcarii uważa, że neutralność nie powinna być pretekstem do siedzenia z założonymi rękami. Szwajcaria zamierza prowadzić bardziej aktywną politykę, przypominającą „różnicowaną neutralność”, którą prowadził kraj w okresie międzywojennym. Aktywność w okresie przygotowań do Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie jest przykładem nowego kierunku szwajcarskiej dyplomacji. Szwajcaria nie tylko wysłała swych przedstawicieli do Helsinek, co samo przez się wywołało niezadowolone dyplomatów starej szkoły, ale także wzięła na siebie rolę pośrednika i przedstawiła projekt uchwały o pokojowym uregulowaniu sprzeczności.

W szwajcarskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych wyjaśnia się polityczną inicjatywę kraju tym, że „kraj neutralny sam powinien decydować, jak postąpić w sprawie neutralności”. Czy Szwajcaria, której status zależy całkowicie od równo-

wagi politycznej w Europie, może pozostać na uboczu wspólnych wysiłków Wschodu i Zachodu zmierzających do ugruntowania tej równowagi na nowych podstawach? „Europa jest naszym domem” — mówi się coraz częściej w Szwajcarii.

Czy zamiar przystąpienia do ONZ będzie się cieszył poparciem Szwajcarów? Ministerstwo Spraw Zagranicznych regularnie sonduje opinię publiczną. Wyniki tych badań są tajemnicą państwową, niemniej sekretarz stanu w tym resorcie nie ukrywa, że obserwuje się powolny, ale stały wzrost poparcia dla tej myśli. Także wiele innych inicjatyw szwajcarskich na arenie międzynarodowej wskazuje, że polityka tego kraju jest ukierunkowana na aktywny udział w sprawach międzynarodowych. Dawniej minęły już czasy, kiedy członkiem rządu nie wolno było podróżować poza granicami kraju. Dziś zakaz ten obowiązuje tylko prezydenta Konfederacji. Po raz pierwszy w historii wzajemnych stosunków dwóch krajów, szwajcarski minister gospodarki przebywał w ubiegłym roku z wizytą w Związku Radzieckim.

Leżąc w centrum Europy, z którą łączy ją ściśle więzy polityczne, gospodarcze, kulturalne, i inne, Szwajcaria znajduje się w orbicie losów kontynentu. Dziś niewielu Szwajcarów uważa, że „takich jak oni, nie ma nigdzie na świecie”. Niemniej znaczna część społeczeństwa, głównie w rejonach, w których mówi się po niemiecku, jak również w odległych górskich kantonach, nadal wierzy w enoty „najstarszej demokracji w świecie”. Poglądy te podtrzymuje wysoki poziom stopy życiowej i polityczna stabilizacja. Dlatego, patrząc ze zgrozą na wystąpienia młodzieży demonstrującej na ulicach Genewy, Zurychu i Lozany, szwajcarscy nacjonalisci jeszcze bardziej gnuśnieją w konserwatyzmie i braku tolerancji. W rządowych kołach politycznych przynajmniej się, że Szwajcaria musi się przystosowywać do otaczającego ją świata. Trzy lata temu Szwajcarii otrzymała prawo głosu, a w kwietniu ub. roku w wielu kantonach wzięły po raz pierwszy udział w tradycyjnych zebraniach wyborców, które od dawna uważa się za świadectwo szwajcarskiej demokracji.

Ale, jak korespondentowi „Mundu” powiedział pewien pastor: „Szwajcarska demokracja kończy się tam, gdzie zaczynają się główne problemy ekonomiki i finansów”. I to prawda. Ścisłe powiązania kół politycznych z ekonomicznymi są przedmiotem krytyki społeczeństwa. 14 lutego ub. roku wielki szwajcarski tygodnik „Weltwoche”, opublikował interesującą analizę, z której wynika, że 90, spośród 200, posłów zgromadzenia związkowego jest członkami rad zarządów 372 kompanii przemysłowych. 31, spośród 44, członków rad kantonalnych reprezentuje 272 rady zarządów prywatnych firm handlowych. Każdy z tych dostojnych parlamentarzystów zdobywa po 40 mandatów. To jest właśnie odwrotna strona federalnego parlamentu — pisze gazeta „Suisse”.

JERZY CZECH

## KRYZYS NA CYPRZE

Cypr — na tę niewielką wyspę we wschodniej części Morza Śródziemnego od dwóch prawie tygodni spoglądają narody świata. Ten liczący prawie 10 tys. km kw. skrawek ziemi stał się miejscem kolejnej rebelii wojskowej — cypryjskie oddziały gwardii narodowej, którym dowodzili oficerowie greccy, zbuntowały się przeciw legalnemu rządowi prezydenta Republiki Cypru, arcybiskupa Makariosa. Jego polityka zmierzająca do utrzymania Cypru suwerennego i niezawisłego, popierana przez mieszkańców Cypru, nie mogła podobać się określonym kołom greckiej soldateski i siłom, które one reprezentują.

Rozsądna polityka wewnętrzna prowadziła do normalizacji i stabilizacji stosunków narodowościowych między Grekami i Turkami. Od dłuższego jednak czasu, konkretnie od początku lat siedemdziesiątych, następuje stopniowy wzrost aktywności kół skrajnie prawicowych i grup terrorystycznych, znajdujących poparcie greckiego rządu „pułkowników”. Lansowany od lat i będący pryncypalnym bezpośrednim zarządcą i wystąpienia zbrojnych plan ENOSIS tj. przyłączenia Cypru do Grecji zostaje znów usilnie forsowany. W 1972 roku wysunęto ponownie projekt podziału wyspy między Grecję i Turcję — w praktyce oznaczałoby to automatyczne włączenie jej do NATO. Oczywiście był to projekt nie do przyjęcia dla narodu cypryjskiego i prezydenta Makariosa. Jego żądanie odwołania z Cypru 850 oficerów greckich dowodzących cypryjską gwardią narodową, zostaje odrzucone. Świat z oburzeniem przyjął zamach stanu na

demokratyczny i legalny rząd Cypru. Z niepokojem obserwowano rozwój wypadków.

Sytuacja stawała się z dnia na dzień coraz bardziej skomplikowana i napięta. Przedstawiciele rebeliantów po opanowaniu radiostacji w Nikozji, oświadczyli iż złamawszy opór zwolenników legalnego rządu, w całości opanowali wyspę. Lansowano również teorię o śmierci Makariosa. Rząd grecki udziela jawnego poparcia buntownikom przerzucając na Cypr coraz to nowe oddziały wojsk greckich. Premier Turcji Bulent Ecevit oświadczył: „poważny kontyngent wojsk tureckich wyładował na Cyprze. Nasze wojska znajdują się na Cyprze nie w celu zagarnięcia władzy, lecz by położyć kres brutalnej interwencji”. Rząd atenski uważa zamach stanu na Cyprze i utworzenie marionetkowego rządu, za naruszenie narodowych praw tureckiej wspólnoty narodowej.

Na wyspie mnożą się akty terroru wobec zwolenników legalnego rządu Makariosa i jego najbliższych współpracowników. Trwają krwawe rozprawy i nasilają się represje. Wbrew bowiem oświadczeniom nowo utworzonego rządu tzw. prezydenta Sampsona, ludność cypryjska zdecydowanie i w większości przeciwstawiła się rebeliantom. Część z nich schroniła się w górzystym rejonie wyspy i stawia opór. Zbrojne starcia mają również miejsce w innych jej rejonach, głównie wokół miasta Limassol i Pafos. Jak podaje korespondent dziennika „New York Times” S. Roberts — 95 procent ludności Cypru opowiada się za przywróceniem demokratycznego rządu prezydenta Makariosa.

Zdecydowana postawa narodu cypryjskiego spotkała się z pełnym poparciem światowej opinii publicznej. Rządy wielu krajów zaniepokojone przebiegiem wypadków, złożyły specjalne oświadczenia w związku z sytuacją na Cyprze, oświadczenia z których wynika jasno i niewyznacznie, iż reżimowy rząd wojskowy, będący narzędziem greckiej soldateski i jej mocodawców, znajduje się w pełnej izolacji, jego poczynania spotykają się z potępieniem demokratycznych narodów świata, które domagają się szerokiej dyplomatycznej akcji, zmierzającej do przywrócenia pokoju i porządku konstytucyjnego na wyspie.

Znamienne jest w tym względzie oświadczenie rządu Związku Radzieckiego odstąpiające m.in. kulisy puczu cypryjskiego: „Soldateska grecka kontynuuje swe agresywne poczynania przeciw niepodległości państwa cypryjskiego. Nowe doniesienia nie pozostawiają żadnej wątpliwości, iż poczynania te stały się możliwe w wyniku poparcia określonych kół wojskowych NATO. Niektóre kraje NATO zamiast wypowiedzieć się w obronie jedynie legalnego rządu Makariosa, weszły de facto na drogę poparcia zamachowców. Rząd radziecki uważa, że obecna sytuacja wymaga podjęcia szybkich i konkretnych kroków. Związek Radziecki ponownie potwierdza że konsekwentnie i zdecydowanie opowiada się za niezależnością i suwerennością państwa cypryjskiego przeciw tzw. ENOSIS — innym słowem aneksji Cypru, do czego dąży soldateska grecka, która chciałaby przekształcić wyspę w bazę wojskową NATO. Niezbędne jest zapewnienie legalnemu rządowi Republiki Cypru z prezydentem Makariosem na czele, możliwości sprawowania pełnej władzy i niezwłocznego wycofania z wyspy wszystkich wojskowych greckich.”

Rząd polski natomiast kończy swoje oświadczenie stwierdzeniem i apelem: „Każdy naród ma prawo do samostanowienia, bez względu na to czy jest duży czy mały oraz jak warunki historyczne ustaliły jego miejsce na mapie świata. Rząd polski domaga się, by na Cyprze położony został kres obecnej interwencji, by wycofano wszystkie wojskowe, zamieszanych w zamach stanu oraz by natychmiast zaprzestano wszelkiej działalności terrorystycznej wobec ludności tego kraju.”

Rząd polski wzywa również inne rządy i apeluje do narodów, by wypowiedziały się w obronie legalnego rządu Republiki Cypru — rządu prezydenta Makariosa i udzieliły swego poparcia w sprawie niepodległości i niezawisłości tego państwa.”

W wyniku usilnych negocjacji i założeń dyplomatycznych, stałych konsultacji i rozmów, konsekwentnie i z uporem prowadzonej linii politycznej tych pertraktacji przez siły demokratyczne, Rada Bezpieczeństwa uchwaliła jednogłośnie rezolucję, której punktem wyjścia jest założenie, że rząd prezydenta Makariosa jest jedynym prawowitym rządem na Cyprze. Przyjęcie takiego stanowiska jest podstawą do przywrócenia konstytucyjnego porządku na Cyprze.

W poniedziałek tj. 22 bm. o godz. 14.00 czasu GMT, jak pisał rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, osiągnięto porozumienie w sprawie przetrwania ognia na Cyprze. Porozumienie to jest zgodne z decyzją Rady Bezpieczeństwa. Walcząca strona zaakceptowała propozycję przetrwania ognia. Ludność Cypru przyjęła to z zadowoleniem.

JAN T. JANICKI

### ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

Ludzie mają różne hobby. Jedni kolekcjonują płyty, inni żolnierzki olwiane — czy raczej — obecnie — plastikowe. Związek między tymi „konikami”, a polityką jest, moim zdaniem, dość odległy.

Mimo to zdarza się — że ktoś kto pomylił pryncypializm z puzyrzem podnosi wielką larum, że w komisjach sprzedaje się... figurki amerykańskich żołnierzyków. Powtarzam: moim zdaniem związek między amerykańskim agresorem na Dalekim Wschodzie, a zabawką z plastiku jest tylko pozorny.

Niedawno spotkałem się z wyrażeniem na lamach „ODGŁOSÓW” zdziwieniem, że w Polsce sprzedaje się płyty piosenkarki Connie Francis. Dlaczego? Ołóż Connie Francis spiewa podobno piosenki, których „zaangażowane treści sprzeczną się z powszechnymi, ogólnoludzkimi odczuciami każdego postępowego człowieka”. Nie wiem o czym konkretnie śpiewa Connie Francis i co znaczy to apodyktyczne zdanie zacytowane wyżej. Wiem, że jest to piosenkarka, ani lepsza ani gorsza od innych, wiem, że młodzi ludzie specjalnie za nią nie przepiadają, a jeśli nawet, to obchodzi ich melodia i rytm, a nie treści piosenek.

Rozumując w ten sposób jak autor ww. artykułku, należałoby wycofać z bibliotek wszystkie książki Johna Steinbecka. Jak

# Z ARMATY DO WRÓBIA...

wiadomo — ku ubolewaniu wielbicieli talentu tego wielkiego pisarza — Steinbeck, pod koniec życia dał się uwikłać w propagandową hecę z wojną w Wietnamie, napisał obrzydliwy paszkwil, antyhumanistyczny tekst, który oburzył wszystkich. Ale czy tym nierozważnym tekstem przekreślił Steinbeck swoje „GRONA GNIEWU”, swoje „PASTWIKA NIEBIESKIE”, „MYŚLI I LUDZIE”, „NA WŚCHOD OD EDENU”? Czy ta garść niegodnych humanisty reportaży sprawiła, że przestaliśmy STEINBECKA czytać i wydawać?

Oczywiście nie, bo to byłby nonsens. Wiem, że może kogoś urazić zestawienie wybitnego pisarza z jakąś tam piosenkareczką. Rzecz prosta — nie ma tu żadnego porównania między Steinbeckiem a Connie Francis. Problem jest tylko taki sam. Connie Francis spiewała ładnie, chwytliwe piosenki. Czy należy te piosenki umieszczać na indeksie, dlatego, że pod koniec swojej kariery zaśpiewała parę utworów, których wyмова może nam się nie podobać?

Oto problem który, w sztuce (dłuższej i malej) zawsze był bardzo żywy. Do jakiego stopnia pomyłki i zakrety ideowe przekreślają te utwory, które zostały stworzone wcześniej.

Czy mamy na przykład prawo odrzucać najpiękniejsze wiersze, jakie powstały w kręgu tzw. a-

wangardy wileńskiej w okresie międzywojennym — tylko dlatego, że ich autor w ileś tam lat później postąpił niegodnie wobec Polski i naszej literatury?

Nie jestem mocny w światowym ruchu piosenkarskim, nie znam zatem zasadności donosu na Polskie Radio za audycję o Barry Sadlerze i jego balladzie o zielonych beretach. Wydaje mi się jednak, że i w tym wypadku strzeła się z armaty do wróbla. Może to jest pu — prostu do brzy piosenkarz, może jest to po prostu dobra artystycznie piosenka?

Jest taki utwór Bulaia Okudżawy, zatytułowany „Piosenka amerykańskiego żołnierza”, zaczynająca się od słów: „Dostanę mundur, broń, do szafki kluczyk — dowódca baczność — spocznij mnie nauczy...”

Jest to znakomita piosenka, ale przecież mówi ona w ogóle o żołnierzu. W latach czterdziestych mogła nosić tytuł „Piosenka niemieckiego żołnierza”, w latach wojny w Indochinach mogła się nazywać „Piosenka francuskiego żołnierza”, a w latach kolonialnej agresji w Angoli mogła być „Piosenka portugalskiego żołnierza”... Jej treści humanistyczne czy polityczne są bowiem ponadczasowe i ponadnarodowe.

nie znam jego ballady, ale — powtarzam — zawsze maie niepokój wytaczanie zbyt potężnych armat przy okazji zbyt małych spraw. „Obniżanie sensu ideowo-wychowawczej pracy z młodzieżą” — to określenie nie na miarę jakiegś szansonistki, o której mało kto pamięta i nie na miarę jakiegś śpiewaka. Sa w tym kręgu problemy ważniejsze i bardziej niepokojące. Jeśli więc do marginaliów przykładacie bedzie my miary rzeczywistego problemu, sami te marginalia nobilitujemy, sami rozdramatyzujemy problem?

Czy to znaczy, że piosenka nie ma nie wspólnego z polityką? Owszem, ma i zgadzam się z autorem w tej mierze. Chodzi mi tylko o propozycje. Bo przecież przyjmując tok rozumowania autora „Piosenki i polityki” mogłbym się domagać zakazu wykonywania utworu „Ewiva Espania”. No bo jakże! Frankistowski reżim, pogrobowcy faszyzmu, a my tu, jak Polska długa i szeroka, śpiewamy „Niech żyje Hiszpania”. Dlatego, choć nie znam ballady Sadlera i ostatnich piosenek Connie Francis, wydaję mi się, że autor „Piosenki i polityki” zapędził się w swym polemicznym ferworze za daleko. Aż do granic śmiešności.

Widok Nie bronie Barry Sadlera, bo

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



WIDOK



— Ano, widać tęsknota, żal i przymus wewnętrzny jakiś, tak onego człowieka wsparły, że niczym owa zgoniona chabeta, co ja od świeżej zielenizny kolka wsparła, będąc, chwycił się ostatniej deski ratunku.

Tu wtrącił się sepleniący, długowłosej, co pił oranż.

— To nie było szukanie, a konstatacja.

— Nie konstatacja, a koncepcja — poprawił go drugi długowłosej, co oranżu nie pił.

— Co tam konstatacja, koncepcja, korporacja, konserwacja, konwersacja, kopulacja! Ważne, że żyjemy — teł jejomosć w pompach walnial pieścią w lawkę — panowie! śniło mi się wczoraj, że młynarzem jestem w starym mlynie. I po wiem wam wiecie! — to nie młyn miał ziarno na make w tym śnie moim, a młak mella ziarno na młyn. Tak było.

— To przećle happening — rzekł jeden z długowłosej, chyba ten od oranżu.

— Gówno prawda — oburzył się tegawy jejomosć — to był sen i kwieta. A sny mają swoje znaczenie. Głębokie.

— A tam Wencja tonie — rozczulił się nagle staruszek z żółtym czamadanem.

— A w Nigerii ludzie stadami giną od pragnienia...

— Ee, tym się nie ma co przejmować. Oni tam mają różne swoje zwyczajy. Nie należy ingerować w sprawy folkloru i interioru.

Siedzimy na ostatniej lawce peronu trzeciego i gwarzymy o tym, o owym. Ten był tu, widział to. Tamten był tam i słyszał tamto. Znamy się wszyscy od lat ze szlaku. Spotykamy się w Amsterdamie, na dworcach w Charbinie, w luksusowych wagonach TEE, czyli Expressu Transporeuropejskiego, który pędzi równie szybko jak japońska „shikari”, albo na peronach Gare du Nord w Paryżu, albo na innych dworcach, w innych stacjach, ale najczęściej spotykamy się w Koluszach, bo jest to stacja — skrzyżowanie, stacja — węzeł, stacja — supel, stacja, przez którą musi przejechać każdy, kto chce wyruszyć lub powrócić, kto chce uciec lub zostać, kto chce zapomnieć lub pamiętać, każdy; bo jest to stacja — przeznaczenie, stacja pierwsza i ostatnia (niezależnie od tego, czy zdajemy sobie z tego sprawę czy nie), stacja, którą jeżeli się ominię, to wypadła się poza Kolo Rzeczy; tego robot nie należy, bowiem wiemy jak trudne są powroty, jak wiele kosztują nas i innych te powroty do wnętrza Kola.

Siedzimy więc i gadamy sobie — starzy znajomi.

— Byłem onegdaj w Łodzi, i wystawcie sobie, panowie, widziałem faceta, co szedł środkiem Piotrkowskiej, tej ich beneficentowej ulicy i niósł zawieszony na szyi ogromny transparent z napisem: TRELINSKI! Pytałem przechodniów, co to może oznaczać, ale nikt nie dał mi sensownej odpowiedzi. Szukałem w Słowniku Wyrzów Obcych i w Słowniku Poprawnej Polszczyzny, ale takiego hasła nie znalazłem. Ktoś mi podsunął, że to może być nazwisko...

— A do herbarza, pan szanowny, zaglądałeś?

— Zaglądałem, a jakże, ale też nie było. O herbarz to madra i poważna księga.

— Może ktoś i czegoś ten gość szukał w ten sposób? — zastanawia się nikiły staruszek z żółtym czamadanem.

— To mógł przez Czerwony Krzyż, przez radio...

— Widać Czerwony Krzyż nie

— Fakt. Racja. Znałem jedną taką babę z Nowego Sącza, co zjadła dwa dziesiątki jajek na twardo i popijała piwem. Sześcudziesiąt lat babcia miała.

— Z musu ona tak, czy dla przyjemności? — zainteresował się długowłosej, co seplenił.

— Ani tak, ani siak. O, lubiła babcia zleść i wypić. A ja znam takiego, co „jak zaczął, to nie mógł skończyć”.

— Panie szanowny, bez świnstw, bo młodzież patrzy — wtrącił się staruszek, który był cały samym żółtym czamadanem.

— Jakie świnstwa? Jaka młodzież? On miał słuch absolułny i jak zaczął grać, to nie mógł skończyć. Lubili.

— Różne rzeczy ludzie lubia — sentencjonalnie zadumał się staruszek.

Pamiętasz, Błażejku, swoich siedmiu wujków?

„Instrumenty w równowadze Elektromagnetyczne We Flordach Ziemi Ognistej Na krabkach świata Łowiliśmy piankę pierwotniaków w zalecicy między dwiema wodami w świetle ryb elektrycznych Kolekcjonowaliście aerolity z tenku żelaza Ktojęś niedzieli z rana Zobaczyłeś biskupa w mitrze wychodzącego z wody Miał rybl ogon i pokrąpał cie Uciekłeś w góry wyjąc jak zraniouy vardi Tej samej nocy Huragan zniszczył obóz Twój towarzysz stracił nadzieję, że odnajda cie żywego Starannie pobierał dokumenty naukowe I po trzech miesiącach Biedni intelektualści Dotarli wieczorem do ogniska gdzie właśnie mówiono o tobie Przyjechałem na twoje spotkanie Plemię Tupa Nieskażona przyroda Ogłery pokrywają klacze 300 czarnych byków rzyczy Tango argentina Na i co z tego? Więc nie ma już miejsca na piękne historie“

Przez peron przewalił się loskot expressu (sa takie, które nie zatrzymują się nawet w Koluszach, ale tych jest stosunkowo niewiele).

— A jednak co koleją, to kolej. Kolej żelaznej nikt i nie nie zastąpi — odezwał się wysoki, chudy jejomosć. — Opowiem was historię, która oczywiście świadczy o wyższości kolej żelaznej nad innymi środkami lokomocji. Mój przyjaciel podróżuje tylko samochodem. Innych pojazdów nie uznaje. Dziwak. Jemu to zdarzyła się taka oto przygoda. Jechał z Wrocławia do Warszawy. Jechał sam i myślał o swoich prywatnych sprawach, których zwykle ma bardzo dużo. Z daleka już dostrzegł stojące na poboczu czerwone „volvo” i ludzi zagladających pod otwartą maskę. Trzy dziewczyny i dwóch młodzieńców stało bezradnych obok wozu. Ktoś z dziewcząt zamachała ręką. Stałi widniei wysiadli, zaplątali się stałi. Powiedziano mu, że coś się zepsuło i że nie bardzo wiedzą, co. Mój przyjaciel jest znawcą i miłośnikiem stalowych rumaków, nie mówiąc już o tym, że jest wysportowanym i doskonale prezentującym się mężczyzną w średnim wieku. Z przyjemnością patrzył na prawie nowy wóz i chętnie zaoferował swoją pomoc. Kiedy nachylił się nad motorem, szukając przyczyn awarii, poczuł na plecach lekkie uciśk i równocześnie głos jednego z młodzieńców:

— Wsiadał pan do wozu i spojów, bo dżgnę.

Drugi stał obok, też z nożem w ręku. Co miał robić? Wokół pustko. Wsiadał razem z młówtkami, które zaczęły biegać wzdłuż krogosłupa tam i z powrotem. Młodzieńcy posadzili go na tylnym siedzeniu, zabrali kluczyki i dokumenty, jedna z dziewcząt wsiadła do jego samochodu, druga za kierownicą, trzecia obok niej. Jechali przez jakiś czas autostradą, a potem skręcili w bok, w las. Mój przyjaciel siedział między dwoma młodzieńcami, którzy uśmiechali się do niego arcyempatycznie, aie nożami od czasu do czasu łaskotali mu zebrza. Uśmiechy uśmiechniami, a noże to noże. Potem zawialali mu oczy i jechali jeszcze dobrą godzinę. Nie będę tu opowiadał, co myślał mój przyjaciel w czasie tej podróży. To sobie każdy z was łatwo dosłupia.

Zatrzymali się przed domkiem w lesie, a raczej przed sporym domem, drewnianym, ładnym. Zdjęto mu opakę z oczu i wprowadzono do środka. Wszystko było bardzo eleganckie. Wszyscy byli dla niego bardzo sympatycznie i serdecznie. Jedna z dziewcząt (wszystkie bardzo ładne) wprowadziła go na piętro i wskazała pokój i łazienkę. Prosiła, żeby unył się i wycpoczał.

— Oto jestem w środku jakiegoś filmu, tylko nie wiem jeszcze, czy to komedia, kryminał, dramat psychologiczny, czy obyczajowy — myślał mój przyjaciel.

Po jakimś czasie ta sama dziewczyna zapukała i poprosiła o zejście na dół. A na dole, w jadalni stół zastawiony: kawowy, lososie, kopianki, szampany, kawa, sery, owoce, likiery. Jeden z młodzieńców dokonał prezentacji: Mariola, Juha, Kira, Wlodek, Janek. Zasiadli do biesiady, w toku której mój przyjaciel został uprzedmiotem poinformowania, że co prawda, porwano go, ale porwano li tylko w celach towarzyskich. Byli trzy panie i tylko dwóch panów — brakowało więc do harmonii jednego dzentelmana. No i ktoś wpadł na pomysł, żeby go zwinąć z szosy. Ponadto zapewniłi go, że mu nie grozi, żeby czuł się jak u siebie w domu, albo jeszcze lepiej, że jak chce

gdzieś zadzwonić i uprzecież, że nie będzie tam, gdzie miał o oznaczonej godzinie być, to proszę bardzo, tylko bez kawałów, bo wtedy, niestety, będą musieli mu zrobić krzywdę.

Mój przyjaciel, panowie, bawil tam cztery dni. Jadał, pił, gawędził, poznał smak każdej z dziewcząt, zaprzyjaźnił się z młodzieńcami i w ogóle. Po czterech dniach zawiazano mu oczy (z żalem) i odwieziono na autostradę, wskazującą nieźbiecie wyższość kolej żelaznej nad innymi środkami lokomocji. W pociągu nie takiego nikomu z nas przytrafiłoby się nie mogło. Mój przyjaciel, oczywiście, nie zawiadomił milicji, lecz do dziś wspomina pierś Kiry, usta Juhl, płaski brzuch Marioli. Chory człowiek z niego dzisiaj Wrak. Jędzi teraz bez przerwy po tej autostradzie w nadziei, że może znowu go porwają i złamali człowiekowi życie.

— Zlamali życie! Nasi piłkarze też złamali nam życie.

Te słowa, gorzkie, że środka, padły z ust pana z ministerstwa.

— Czy wiecie, co oni narobili tym medalem? Przyjeżdżają teraz do nas z Ameryki, z Afryki, z Kanady, z Japonii, z Hongkongu, z Taiti. Nagle okazało się, że wszystkie drogi prowadzą do Polski. — Jak oni tak myśla nogami, ci Polacy, to jak oni muszą myśleć głowami — mówią. I dawaj dowiadywać się, jakie my mamy lasery do ślepej kiskki, jaką rzodkiewkę, jakie maszyny do liczenia... Czy mi elektronownie mamy na torcie czy na atomie? Kiedy startujemy w Kosmos? Czy byki u nas z krowami normalnie, czy przy pomocy? Strach pomyśleć, panowie. Zlamane życie.

Eh, Błażejku, i pomyśleć, że kiedyś przyjdzie starość. Ja to ty pisałeś?

„Miasta są brzuchami Nie poruszam się już po drogach Liniaach kolejowych Kabiach Kanalach Ani wiszących mostach! Słoneca księżyc gwiazdy Świary apokaliptyczne Macie jeszcze piękna rolę do odegrania Syfon kicha Literackie kankany idą swoją koleją Niziułko W Rotondzie Jak w głębi szklanki Czekam Chciałbym być piątym kołem u wozu Burza Południem o cztertnastej godzinie Niczym i wszędzie“

LEWYM OKIEM

## NAJLEPSZE ŻYCZENIA!

Tak się złożyło, że w ostatnich tygodniach musiałem trzykrotnie podejmować pewne sumy z książeczki oszczędnościowej w Oddziale PKO przy al. Kościuszkii. Pierwsze dwa razy poszedłem tam po pracy i odstąpiłem po te dwie godziny przed okienkiem numer dwanaście. Czynne były, w ogóle, dwa okienka z wypłatą — jedenaste i dwunaste; przed każdym kilkanaście osób — każdą „nie wiem dlaczego” — zaliczana kilkanaście minut. Czarna rozpacz.

Ale panienka z okienka poradziła, żeby przyjść przed południem, to kolejkę nie będzie. Poszedłem o dziewiętej rano — tym razem czynna była także kasa numer trzynaście. Przed każdą z trzech kas kilkanaście osób, chyba więcej niż poprzednio. Aha, prawda, ludzie jadą na urlopy i potrzebują pieniędzy.

Sześć stanowisk nieczynnych w ogóle. Przy pozostałych — żywej duszy. Przed trzema kasami tłok. Znow odstąpiłem dwie godziny, tym razem w ramach zaplanowanego mi przez państwo czasu pracy. Pozostali klienci na pewno w większości tak samo. Ile to razem roboczo godzin?

Tych sześć godzin w kolejce kosztuje — dokładnie to wyliczyłem — więcej niż caloroczny przyrost odsetek na książeczce. Jeśli tak musi być — słowo daję, że lepiej oplaci się trzymać oszczędności w pochopsze i mieć do własnych pieniędzy dostęp w każdej chwili. Tak zrobić, bo nie znoszę kolejk. Parę lat temu pisał o tym w „Życiu Warszawy” Władysław Kopaliński i nie się nie zmieniło. Owszem, wpłacić łatwo, w dowolnym urzędzie pocztowym. Podjęcie — to sprawa na pół dnia. Nie warto.

Przezytałem w „Polityce” artykuł o truskawkach i chyba będę musiał zmienić zdanie o tych, którzy te owoc uprawiają. Toż to prawdziwi męczennicy, pracujący za darmo, a jak się trafi urodzaj — to jeszcze do swej pracy dopłacają. Najpiękniejszy i najbardziej wydatny gatunek truskawek optaca się najgorzej, bo owocuje w ściśle określonym czasie i wtedy pada jest ogromna, zrywca nie ma kto, przewieźć nie ma czym, zapakować nie ma w co. Przetworzyć przemysłowe nie mogą przeciw przerobić całej podaż w ciągu paru dni. Żeby to tak mieć truskawki, dojrzewające wcześniej lub później, żeby te żniwa jakoś rozciągnąć w czasie, żeby nadażyć ze zbiorów i przerobem! Ha, w tym celu trzeba by uprawiał gatunki gorsze i trudniejsze w uprawie, o owocach drobnych i mniej smacznych. Błędne koło...

Do tego błędnego koła wpłatają się w dodatku inne, mniejsze a równie błędne koleżki: już mamy ten truskawkowy koszyk, już mamy zbiory w własnych dzialek, tego się przecież nie da przejechać! Znajomi ledwie raczą podziękować za cały koszyk, na pniu zaś zostawiać Gotujemy kompoty, dzemy, konfitury! Ba, do tego trzeba mieć weki, a do zamykania weków niezbędne są gumki. Czy jest to produkt niezmiernie skomplikowany i wymagający wielkich inwestycji przemysłowych? Czy może nie oplaci się nim handlować, planu się tym nie wykona, obrotów dużych nie zyska? Nie wiem. Gumek w sprzedaży nie ma, truskawki dojrzewają jak głupie, takie apetyczne, takie piękne, dojrzałe — a niepotrzebne...

O Polskich Kolejach Państwowych nie będę już pisał, z tego nie nic wyniknie. Nie wspomnę nawet o pewnym zaprzyjannym małżeństwie, które z miesięcznym wyprzedzeniem kupilo sobie bilet z miejscem sypialnym z Chojen do Szczecina, na ślub w rodzinie. Z bukietami i prezentami w rękach stawili się we właściwym dniu na stacji — i co? I konduktor wagonu sypialnego nawet nie otworzył drzwi. Przez szybę tylko dawał znaki, że miejsca wyprzedane, zajete, „obłożone” — koniec dyskusji. Kierownik pociągu nie interweniował, bo po co? Wagon pozostał zamknięty, pociąg ruszył, goście weselni zostali z biletami na peronie. To nie. W ich imieniu składam nowożeńcom niniejszym najlepsze życzenia na nową drogę życia —



### WOJNA I PIÓRO

Ta publikacja Melchiora Wankowicza była już głośna na długo przedtem, zanim się ukazała. Czytaliśmy jej fragmenty w wielu czasopiśmie społeczno-kulturalnych i w ten sposób Wankowicz zapisał czytelników do swojej nowej książki. A jeśli dodamy rzecz oczywistą, że do książki Wankowicza nikogo specjalnie zachęcać nie trzeba — fakt zniknięcia jej z księgarń nie jest żadnym ewenementem. Mimo nakładu 30 tys. egz., co zwyższa jest przyjęciem kryminalistów.

„Wojna i pióro” jest książką o wojnie i o pracy korespondenta wojennego. Tak można by najogólniej ją scharakteryzować. Ale to przecież będzie uściwieniem. Wankowicz bowiem pisze także o historii wojennej reportażerki, obok tekstów Ernsta Pyle'a mamy teksty Jana Chryzostoma Paska, obok tekstów Churchilla mamy Galla Anania, i Durososa. Mamy więc wojnę widzianą w różnych epokach i z różnych stron. Mamy wojnę Niekrasowa i Simonowa i wojnę Kintlinga; wojnę widzianą oczyma pisarzy amerykańskich i wojnę widzianą oczyma korespondentów japońskich. A jednak nie jest to sztafeta antologii tekstów o wojnie, choć Wankowicz zgromadził na kartkach swojego dzieła dziesiątki nazwisk od Napoleona do Zbigniewa Żukowskiego.

Nie zapominajmy bowiem, że Melchior Wankowicz sam jest wybitnym przedstawicielem wojennej reportażerki, sam ma niezwykle bogate doświadczenia w tej mierze — był przecież korespondentem wojennym na hecnych frontach dwu wojen światowych. I właśnie te osobiste refleksje, to własne namacelnie doświadczenia sprawiają, że jest to książka-antologia, a jednocześnie bardzo osobista, bardzo własna, choć nieraz kontrowersyjna. Myśle, że takie właśnie dzieło o wojnie widzianej przez wojennych reportażerów, mógł napisać tylko Melchior Wankowicz. I dobrze, że napisał.

Melchior Wankowicz „Wojna i pióro”. Wyd. MON, cena 80 zł.

### PANTOFELLAND

W ostatnich latach mieliśmy dwa głośne raporty z Niemiec zachodnich. Jeden był z Monachium, drugi — z Hamburga. Obecnie doszedł trzeci — Aleksandra Rowińskiego „Rozkoszny Pantofelland”. Autor zresztą dość często odwołuje się, krytycznie zresztą, do obu poprzednich książek o Niemczech za Laba.

Nie mam zamiaru ustawać tego tomu reportażu w jakiejkolwiek opozycji do poprzedników. Fakt jest jednak, że książka napisana jest znakomicie. Rowiński po prostu zapisał niemiecką prowincję, sfotografował przelietnięcie mieszczucha, zanotował fakty. Wnosił raczej pozostawia czytelnikowi. I to chyba dobrze.

Część tych reportażu znana jest z prasy, w sumie jednak zebrane w książkę układają się one w jakis jednolity, bardzo konsekwentny obraz — obraz budzący zaufanie. A poza tym — co tu kryć — napisana jest ta książka znakomicie i jej walorów czytelnice są ogromne. Rzadko się bowiem zdarza, aby tom reportażerki czytał jednym tchem, jak dobry kryminal. Dlatego myśle, że warta jest polecenia ta warka opowieści o dzisiejszych Niemczech za Laba. Żyjących w kraju miękkich pantofli.

Aleksander Rowiński „Pantofelland”, Wyd. Iskry, cena 15 zł.

### SMIECHU WARCII

„Pojęcie „publigráfico” wymyślił Szymon Kobylński i oznacza ono grafika, który uprawia publicystykę nie pisana, lecz rymowana. Jednym z najwybitniejszych polskich „publigráfico” jest oczywiście sam Kobylński i to od lat, jeszcze od czasów, gdy w „Dzienniku Świąt” rysował swoje cotygodniowe felietony o Kazimierzu Dobroduszu.

Dzień Kobylński ma swój styl wspaniały — pierwszej stronie „Polityki” i główne stał za czasów, swoje rysunki do „Smiechu w arcii”. Jest to albumik wiele zabawny, ale przecież nie o samą zabawę tu chodzi. Wiele tu spraw poważnych i czasem najważniejszych, choć Kobylński ubrał je w lekka żartobliwa formy. Trochę żartobliwy jest dla mnie fakt, że te wesołe, poważna książeczka wydawała akurat wydawnictwo „Harcerskie”. Ale przecież nie takie zagadki gotuje nam nieraz nasz wydawca. Może zresztą Kobylński jest harcerczem?

Oczywiście nie zamierzam opowiadać własnymi słowami rysunków Szymona Kobylńskiego. Trzeba je obejrzeć samemu i — pomyśleć nad nimi. To nie są zwykłe „wice”, to jest naprawdę mądra, zaangażowana publicystyka.

Szymon Kobylński „Smiechu w arcii”. Wyd. Harcerskie, cena 18 zł.

### MALPIE ZWIERCADŁO

Wydawnictwo Literackie wciąż nas zaskakuje niespodziankami. Oto wydano dwa opasłe tomy klasyki felietonu, aforyzmu, żartu, kolumny i czego tam jeszcze — wybór pism satyrycznych Adolfa Nowaczyńskiego. Ponad 1100 stron druku: historia polskiej satyry od roku 1897 do roku 1906. Nowaczyński co prawda pisał jeszcze no tej drugiej stronie lat bez miał czternaście, ale dobrze i to.

Był to wybitny pisarz-satyryk o niezwykłym nerwie publicystycznym, niestety po roku 1914 zajął się czynnie polityką, ona stała się jego pasją i jej oddał swe pióro. I trzeba raz jeszcze użyć słowa „niestety” — bowiem w politycznych rozrywki Nowaczyński opowiedział się po stronie „ciężkiego”, zdradził tak sympatycznie „nieznaną”, nieznanej doby Nowaczyński trwał miejsce w dziejach literatury polskiej szczytu XIX wieku i w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Odnaczał się nie tylko wybitnym talentem, ale i odwagą cywilną i brawurą w licznych utwórkach polemicznych, które prowadziły przetrwał przedom. „falszywym” wielokrotnym i wszelkimi wszechstronnie. I dobrze, że z wyboru Wydawnictwa Literackiego zapamiętamy go takim właśnie.

Adolf Nowaczyński „Malpie zwierciadło”. Przedmowa i projekt wyboru tekstów Tomasz Weiss, Wyd. Literackie, t. III, cena 125 zł.

### WSPOMNIENIA

Vladimir Pozner urodził się na Litwie, ale pisał po francusku. Zaczynał swoją drogę pisarską od urupowania „Sierapionowy bratni”, które głosiła niezależność literatury od życia społecznego. Wkrótce zresztą wyjechał do Paryża i tam już pozostał. Stał się pisarzem francuskim. Został członkiem Komunistycznej Partii Francji — swola twórczość poświęcił sprawie postępu i pokojowi.

I oto Vladimir Pozner wdał swoje urokliwe wspomnienia — zapis pamięci, notatki z rozmów z ludźmi, których nazwiska są jakby wpisane z podreżenka historii kultury. Vladimir Pozner nie został wielkim pisarzem, nie na go w „Słowniku pisarzy świata”, ale los dał mu się zetknąć z wieloma ciekawymi ludźmi, o których napisał w swej niewielkiej książeczce.

Przewijają się przez karty tych wspomnień i wybitni fizyki, współtwórcy bomby atomowej, Rober Oppenheimer, Francois Mauriac, Borys Pasternak, Fernand Leger, Elsa Triolet (też zresztą Rosjanka, która została francuską pisarką), wreszcie Charles Chaplin i Pablo Picasso. Wystarczy tych kilka nazwisk przyjąć i znanymy Poznera, aby powstały zajmujące wspomnienia. Nie widać dziwnego, że książka czyta się z zainteresowaniem — odkrywa ona przed nami świat międzynarodowej artystycznej cyganerii.

Vladimir Pozner „Wspomnienia”. Wyd. Książka i Wiedza, cena 18 zł.

### FILM

Jan Rybkowski wykazał nie lada odwagę, gdy po porażce Witolda Lesiewicza, jako był „Bolesław Smlaly”, sięgnął znow po średnio-wieczny temat. Sądził zapewne, iż pomocna mu będzie pozorna przeszkoda — niepełność historycznej wiedzy, otwierająca drogę fantazji, dająca legendzie i baśni znaczne uprawnienia w kreacji świata wyprowadzonego z czasów głębowego średniowiecza. „GNIAZDO” według scenariusza Aleksandra Seibora-Rylskiego jest zatem filmem, w którym o lepsze walczą historia i legenda, lecz skutek tych twórczo-intellectualnych działań w zachwy, niestety, nie wprowadza.

Należy postawić pytanie, czy można było inaczej? W dziejach kina, uwielbiającego historyczne rekonstrukcje, średniowiecze niezwykle rzadko znajdowało swe przekonywujące wizje („Siódma pieczęć”, „Andrzej Rublow”, „Marketa Lazarova”), były to jednak zawsze filmy, w których zwyciężała nie tyle historia czy legenda tamtych czasów, co próba intelektualnego zmierzenia się człowieka współczesnego z wiedzą o świecie i ludzkich problemach owej epoki. Nikt przy tamtych filmach nie pytał o autentyczność i historizm realiów, było to ich cechą immanentną, przemawiająca głównie prawdą trwałą ogólnoludzkich problemów.

W „Gnieździe” wobec tamtej epoki postawiono, słusznie być może, jedno pytanie — kim był

# GNIAZDO

człowiek, który zjednoczył pod swym panowaniem plemiona słowiańskie i rozpoczął proces tworzenia państwa, które zasięgiem terytorialnym było niemal równe Polsce współczesnej. Odo-wiedź na to pytanie nie mogła być, wobec braku wielu niezbędnych historycznych przekazów, pełna, mogła jednak wynikać z kilku faktów bezspornych, reszta była już w mocy fantazji. Przyszłość podjąć się ocen historycznych, iż jedyną rzeczą, która Scriborowi-Rylskiemu i Rybkowskiemu, przy znakomitej pomocy Wojciecha Psoniaka, udało się, to właśnie kreacja postaci Mieszka.

Psoniak, mimo iż czuje się na ekranie, chwilami może zbyt silnie, jego grę pół serio, nadal za-zdymnowanej w scenariuszu postaci Mieszka cechy bohatera, który był początkiem dobrego filmu, do-brej historycznej opowieści, Mieszko, władca silnej ręki i politycznej strategii, człowiek inteligentny i sila osobowości wystras-jący ponad tych, którzy są wokół, zwycięża w kreacji Psoniaka ryzy postać prawdziwej, nie przebranej, jak to ma miejsce w przypadku wszystkich innych towarzyszy i przeciwników wielkiego księcia. Psoniak gra po prostu człowieka współczesnego

czyli wiecznego. Patrząc na rolę Psoniaka odnosi się do chwili wrażenie zmianowanej szansy, wrażenie, że aktor ten co chwila zmienia konwencję, przechodzi na pozycje wyznaczone przez reżysera i innych kolegów-aktorów, choć swoją rolę mógł zdecydować o tym, że byłby to inny film niż jest.

Stało się bowiem to, co stać się musiało. Gdy historycznej wiedzy zabrakło, gdy zabrakło koncepcji na film problemu władzy i państwa, szukano wsparcia w legendzie, niestety jednak w legendzie ze szkolnych czytane-k. Ze to zbyt mało, przekonywać chyba nie trzeba. Żal tym więcej, że kino ma swe własne możliwości, by opowiadanie baśni przyswajać uroku. Wiedzialo o tym na przykład operator filmu, Marek Nowicki, którego zadaniem ratujac kilkakrotnie film tam, gdzie nie starza inscenizacyjnej inwencji reżysera. Jedno tylko trudno zrozumieć — dlaczego autor trudnił się dziełem, że zbudowany dla filmu gród był niezwykle wdzięcznym obiektem dla filmowej fotografii i sytuacji inscenizacyjnych. Nie zdziwiło mi się jeszcze widzieć w filmie tak nie wykorzystanej, a przy tym tak dużym trudzie dokonanej rekonstrukcji obrzytej w końcu bu-

dowl. Rzadko też zdarza się we współczesnym kinie oglądać tak nieporadnie zainscenizowaną bitwę. Jak to ma miejsce w „Gnieździe”. Bitwa pod Cedynią weszła do historii naszej, jako dowód znakomitej strategii jej wodza, konia z rzędem temu, kto w to uwierzył oglądając film Jana Rybkowskiego.

Nie ma najmniejszej potrzeby spierać się o realia historyczno-ebczykowe „Gniazda”. Pretensje wobec scenarzysty filmu; autora dialogów, źródła swych wiec też nie mogą mieć w domaganiu się archaizacji języka, mogą natomiast wynikać z prostych wobec literata wymagań, by w dialogach tych było więcej zwykłej urody języka, by nie brzmiały fałsz.

„Gniazdo” Jana Rybkowskiego jeszcze raz dowiodło, że średnio-wieczna jest dla filmu epoka bardzo trudna, sięgając do niej trzeba mieć świadomość tego, czego się w niej szuka, że godzenie historii i legendy jest rzeczą bardzo trudną, że wymaga albo intelektualnej świadomości i dyscypliny, albo wielkiej, kreatywnej wyobraźni. Tych rzeczy w „Gnieździe” nie stało. Powstał film do oglądania, to raczej pewne, „Stara baśń” czyta się przecież do dziś, a i „Gniazdo” poza postacią Mieszka ma kilka ładnych wątków i sytuacji. Nie zmienia to faktu, że widzowie mają prawo żądać od tych, którzy prezentują im swe twórcze pomysły, mówiąc najprościej — siły wyobraźni.

EWA NURCZYŃSKA

### TELEWIZJA

Powoli i jakby trochę wstydliwie wkracza do polskiej telewizji reklama. Wstydliwie, bowiem jeszcze nie tak dawno wszelkie zabiegi związane z odwiecznym handlowym obyczajem zachwalania towarów wystawionych na sprzedaż budziły niesympatyczne skojarzenia, tracili zarobki zaginiona i rodzili posadzenia o wywoływanie konsumpcyjnego wilka i kapitalistycznego lasu. Obecnie odzaje się, że jest to sytuacja zdrowa i normalna dla gospodarki społeczeństwa wkraczającego w standardy dobrobytu cechujące państwa rozwinięte. W tym okresie reklama może pełnić nie tylko szczegółowe funkcje związane z lansowaniem konkretnych produktów, ale powinna stać się instrumentem kształtującym strukturę konsumpcji i podpowiadającym nowe możliwości stylu życia.

Obserwując wszakże przejawy naszej działalności reklamowej nie mogę wyzwać się od wrażenia, że jest ona idealnie bezcelowa. I to nie tylko dlatego, że sam jeszcze nigdy nie kupiłem czegokolwiek za namową neonu, planisy lub reklamowego filmu, i nie tylko dlatego, że — jak wielokrotnie o tym pisało — reklamowane towary nie zawsze trafiają w konieczny i awizowany czasie do sprzedawcy, albo — odwrotnie — że są to zwykle buble wyprodukowane w nadmiarze, a wtedy reklama staje się antyrekłama, i że wreszcie najlepsza forma reklamy jest „reklama parolowa”, gdyż podaż naprawdę atrakcyjnych towarów ciągle nie dorównuje jeszcze popytowi. Bezcelowość polskiej reklamy powodzi z jej — mówiąc naiwniej — bezgranicznego prymitywizmu. Trudno w tym miejscu nie powołać się na doświadczenia reklamowe, które stanowią niezwykle uwyrafinowany system skutecznego przekonywania klienta o doskonałości oferowanych mu dóbr. Oczy-

# „Czysta żywa wełna”

wiście, daleki jestem od całkowitej akceptacji reklamowej historii, która stanowi jeden z najbardziej drastycznych symptomów zniewolenia jednostki zachodniej cywilizacji. Ale nie wyzucam jej dziecka razem z kąpielą tylko dlatego, że naszego w ogóle nie kaplemy! Nie zgadzając się z patologicznymi przesostami i celem finalnym zachodniego systemu reklamy nie można negować również jej niektórych metod. Swoją efektywność czerpią one z szeroko rozwiniętych badań prowadzonych w „styku” socjologii, psychologii, logiki formalnej i semiologii. Składają się one na tzw. teorię propagacji, która zajmuje się sztuką możliwie szybkiego i skutecznego rozpowszechniania w sytuacji konkurencyjnej poglądów i postaw, a dotyczy nie tylko domeny handlowej, ale również politycznej i ideologicznej. Badania te przelożone na język praktyki i skojarzone z inwencją i perfekcją wykonania, składają się na błyskotliwy styl perswazji, który decyduje o specyfice języka zachodniej kultury. Teoretycy kultury twierdzą, że badania antropologiczne, współczesnej kultury Zachodu będą musiały uznać reklame za jedno z najbogatszych źródeł wiedzy na temat sytuacji psychologicznej, estetycznej, ekonomicznej człowieka tej cywilizacji.

Tymczasem naszym poczyna-niom reklamowym ta skomplikowana pragmatyka nawiązania kontaktu z odbiorcą jest zupełnie

nieznana. Rozwijają się one spontanicznie, „sobie a muzom”, a żalodne efekty „radosnej twórczości” straszą ze wszystkich stron. Wszyscy doskonale znamy odpychające ubóstwo plastyczne reklamowych plansz, dosłownych w treści i operujących nieudolnie skłecnymi sloganami, kiepowate malowidła, które szpeczą ściany domów, żenujący prymitywizm form reklamowych, które smieszają nie zamierzonym komizmem, martwy schematyzm neonów. Jak gdyby zupełnie zapomniano, że reklama jest rodzajem sztuki użytkowej i obok celów praktycznych, winna służyć celom estetycznym, i nie dość powtarzać truizmy, że jako ważny element środowiska człowieka winna wywierać kształtujący wpływ na jego wrażliwość i wyobraźnię plastyczną. I to wszystko dzieje się w kraju, gdzie grafika artystyczna święci triumfy, gdzie artyści plakatowi tworzą szkołę zbierającą zagraniczną laury, a film animowany gromadzi wybitne indywidualności. Brakuje jednakże jakiegokolwiek osmozy pomiędzy tymi cenowymi doświadczeniami, a stylem praktyki reklamowej. Nie wiadomo, czy bierze się to z pogardy, czy z prostego braku zainteresowania, ale skutek jest taki, że ten ważny społecznie obszar pozostaje królestwem plastycznej tandety. Informacyjnego belkotu i absolutnego braku wyobraźni.

I oto na naszych oczach cały ten koszmarny zaczyna od pewnego czasu wkładać się do telewizji.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

### KSIAZKA

...ale nie nazbyt krytyczne, dokonujące drobniogowej analizy literackiej, niemal rozbioru treściowo-motywalnego wiersza, albo omawianej przez Feliksa Fornalczyka prozy. Krytyk nie usiłuje sam, z własnego warsztatu krytycznego uczynić literaturę. Potraktował swoje szkice jako studium nad utworami kilku wybranych pisarzy, jak — dość solidną pracę naukową. Stała się ona przez to źródłem informacji dla fachowców, zwykłego zaś czytelnika, po prostu, żnuży.

Szkoda. Krytykę literacką można i trzeba czytać, jak samą literaturę. A nawet — o zgrozo — ona powinna być piosana ostrzejszym, bystrzejszym i lotniejszym piórem niż przedmiot jej admiraacji i pochwał, albo niechęci i krytyki.

Zapomnieliśmy już chyba czym jest krytyka literacka, czym być powinna. Czytamy na temat naszych dzieł, arcydzieł po prostu powieści najczęściej szkolne rozprawki, albo rozprawanie się z pisarzem bynajmniej nie za dzieło. Gdy sytuacja tego wymaga, pisuje się uprzejme i niaiknie recenzje. Jedno, drugie i trzecie nie całkiem odpowiada znaczeniu i roli tej

# SZKICE POPRAWNE

interesującej dziedzin literatury, równie pasjonującej, i zapładniającej wyobraźnię, jak poezja, powieść, esej. Przede wszystkim zaś — twórczej.

Fornalczyk, jak większość krytyków szuka warunkowań artystycznych i tematycznych w życiorysach pisarzy, w otoczeniu życiowym i środowiskowym, w sposobie spędzania dzieciństwa i młodości, w ob-sesjach wreszcie, od których nie jest wolny żaden człowiek, artysta — szczególnie.

Trudno odmówić taktemu podejściu do dzieła literackiego iwiej części słuszności, aczkolwiek nie należy lekceważyć tkwiącej w każdym człowieku żytki do fabularzowania. — Inaczej i prosto mówiąc do wy-myślenia niestworzonych historii, stanowiących drugą, lwią część literatury. Już od dziecka lubimy zmyślać zabawne, ładne, albo mroźne krew w ży-lach nowości, na użytek rów-nieżników i dorosłego odczucia. Pilnie baczymy, jak to wywołuje efekt. Jeżeli pożąda-ny — zdajemy wynalazczość.

Jeżeli twórca stanowi swoją twórczością indywidualność, jeżeli jego „Inność” jest ewidentna, nawet jeśli dorobek w to-mach nie największy, krytyk ma zaraz mnóstwo do powiedzenia.

Truizmy to — ktoś może za-uważać. Oczywiście. Ale książka Fornalczyka jest tak wier-nym tych komunałów odbiciem, że nie sposób ich nie przypomnieć.

Szkice „Znani i Nieznani” Feliksa Fornalczyka wydało Wydawnictwo Łódzkie (Łódź 1974 r.) w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy. Trud edytorski, nie wspominając o kosztach, nie oplaca chyba wydawniczej inicjatywy przy takiej wysokości nakładu. Na pewno nie ma już w księgarniach ani jednego egzemplarza książki. Zwiastuje, że Fornalczyk porwał się na przedsięwzięcie o tyle trudne, co niewdzięczne — starał się zaznaczyć w naszej literaturze obecność tak znanych, jak i mniej znanych pisarzy. Za to żaden pisarz nie może pozostać bez krytyki bez ciepłego słowa podziękowania.

BARBARA NAWROCKA-DOŃSKA

Feliks Fornalczyk: Znani i nieznani. Łódź 1974.

# MAGAZYNEK

## FELLINI NA SPACERZE

Włoski reżyser F. Fellini często spaceruje ulicami Rzymu, ciekawie się rozglądając i bacznie obserwując życie. Często rezultatem takiego spaceru jest tematik do następnego filmu. Raz podczas przechadzki miał Fellini przyjemną przygodę. Zamyślony, usłyszał za plecami wołanie: „Kolego Fellini!” To wołał polski turysta, jak się potem okazało, z zawodu kuśnierz zimowy.

Polski turysta serdecznie wyściskał Felliniego i rzekł po

**MAŁE KINO**  
„Najlepsze są te małe kina...”  
K.I.G.

prostu: „Bardzo Was proszę, robcie nadal tak dobre filmy, jak do tej pory. Do tej próśby

przyląca się również moja małżonka”. Wzruszony Fellini przyrzekł do polskiemu turysty i stara się nigdy nie zapomnieć o swojej obietnicy.

## SUROWE WYJASNIENIE

W związku z licznymi pytaniami nadsyłanymi na adres naszego Organu odpowiadamy niniejszym, iż pieczątką z napisem: „Reżyser Kinowy” nie upoważnia jej właściciela (cielkę) do nakreślenia filmu fabularnego. Natomiast do czego upoważnia, wyjaśnimy innym razem.

patrzyłem na nią. — Ma pani zgrabną figurę — rzekłem na pożegnanie. — I ładnie pani w kombinzonie, i w ogóle... chciałbym dłużej... że tak powiem... pobyt z panią, że się tak wyrażę, na niebie!

— Podobna mi się spadać z panem — wyznała szczerze dziewczyna. — Nigdy o tym dniu nie zapomnę. — Szkoda, że nasze drogi za chwilę się rozejdą — stwierdziłem filozoficznie i odważnie spojrziałem na zbliżającą się ziemię. — Pani tam, a ja w stronę przeciwną! — powiedziałem, pokazując w stronę nieba. — Gdyby nie to smutne nieporozumienie, bez wahania oświadczyłbym się pani. Obawiam się, że teraz może to zabrzmieć zbyt lekkomyślnie. Mógłbym poprosić panią o rękę zupełnie oficjalnie, ale przecież nie ma sensu, aby pani wyładowała na ziemi już jako wdowa!?

— Pan naprawdę chce się ze mną ożenić?! Wobec tego niech pan spróbuje pociągnąć za kółko! — szybko poradziła mi ukochana.

— Skąd pani wie, że nie ciągnęłam? — uśmiechnąłem się.

— Bo widziałam, jak pociągał pan za wszystkie tylko nie za kółko. Jest pan zbyt rozgardniony, aby zostać prawdziwym... spadochroniarzem!

— A czemu pani mi wcześniej o tym nie powiedziała? — obrzyłem się, nawet nie dotykając kółka.

— Ciągnij! Natchmiasł! — krzyknęła dziewczyna.

— Nie, najpierw odpowiedź! — powiedziałem z uporem. — Bo się pokłócimy.

— Pan na pewno nie zwróciłby na mnie uwagi i szczęście przeleciałoby obok pana! — krzyknęła, starając się zaoszczędzić każdą chwilę spadania. — Jak pan śmie!... Proszę natchmiasł szarpnąć za kółko!

— Tyłko bez paniki, proszę pani. Nie jesteście jeszcze na ziemi! — ze złością wykrzyknęłam i odnalazłam kółko szarpnieniem z całej sily.

Po chwili łagodnie dotknęliśmy ziemi. Ze wszystkich stron biegli do nas przerażeni ludzie.

— Koledzy! Nic straszniejszego się nie stało — z radością krzyknęła do nich moja narzeczona. — Po prostu zgodziłam się zostać jego żoną!

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

## KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO



HENRYK DEBICH

JANUSZ KLOSINSKI

POLA RAKSA

## MARK ZACHAROW

# SPADOCHRON

Szarpnąłem za kółko i z przerażeniem poczułem, że spadochron nie otworzył się.

— Dwa lata temu to samo mi się przytrafiło — spokojnie powiedziała, przelatując obok, znajoma spadochroniarka z sąsiedniej grupy.

— I czym się to skończyło? — krzyknąłem z zainteresowaniem.

— Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że wszystko się utrząśło...

Postanowiłem czekać, kiedy wszystko się utrząśni i ze zdumieniem stwierdziłem, że moja znajoma spada zupełnie tak samo jak ja.

— Halo! — wrzasnąłem. — Niech pani nie będzie gapa. Zapomniała pani otworzyć spadochron.

— Skaczę z opóźnionym otwarciem! — uśmiechnęła się.

— Ach tak! — też się uśmiechnąłem. — To znaczy, że przez pewien czas będziemy towarzyszymi podróży.

Nastąpiło milczenie.

— Czy długo będziemy tak spadali? — spytałem, aby przerwać tę kłopotliwą towarzyszką sytuację.

— Nie wiem. Pierwszy raz spadam z tej wysokości! — przyjaźnie odparła dziewczyna.

— A jest pani pewna, że lecimy w odpowiednią stronę? — spytałem na wszelki wypadek.

— Oczywiście! — ucieszyła mnie odpowiedzią. — Proszę patrzeć. Już jest ziemia!...

— Tak szybko! — powiedziałem lakonicznie i ostatni raz po-

## WSPOMNIENIA KARIN STANEK

# LISTY i EGZAMIN

Połem zaczęły napływać listy. Nie byłam w stanie sama przeczytać wszystkich listów, było ich tak strasznie dużo. Prosiłam



Fot: Archiwum

o pomoc rodzeństwo i koleżanki, które segregowały listy na ciekawe, i te, w których proszono tylko o zdjęcie. Kiedy miałam wolne dni od imprez i spędzałam je w domu, podpisywałam stopy zdjęć i mama wysyłała je na podane adresy. Listy ciekawe zawsze czytałam, czasem starałam się na nie odpisywać, ale rzadko mi się to udawało, z uwagi na brak czasu. Moge jednak zapamiętać wszystkie pisma, które do mnie po dzień dzisiejszy, że nie pale i nie niszcze listów, znajdują się one w ogromnych skrzyniach, specjalnie w tym celu sporządzonych.

Wszystkim ogromnie dziękuję za listy i przepaszam, że nie zawsze mogłam odnieść. Listy cieszyły mnie tym bardziej, że kiedyś nie dostawałam ich wcale, nie korespondowałam z nikim. Czasem tylko dostawałam, jakiś list od koleżanki z kolonii, albo od mamy, kiedy sama przebywałam na wakacjach. A ktoś z nas nie lubi otrzymywać listów? Toteż ogromnie radowały mnie te olbrzymie ilości, które zaczęłam raptem otrzymywać, cieszyłam się, że tyle osób o mnie pamięta, interesuje się mną, moim życiem. Treść była przeróżna,

prosił mnie o zdjęcia, autografy, o wystanie kawałka materiału z bluzki lub spodni, o kosmyk włosów, zdarzały się również oferty matrymonialne.

Mam przed sobą cały stos listów.

„Czy lubisz marzyć Karin? Bo ja tak, czasem wydaję mi się, że wieczorem siedzmy obok siebie i rozmawiamy. Mam Ci tyle do powiedzenia, zostań moją przyjaciółką...”

„Nasiaduję Panią na każdym kroku, nucę pani piosenki, chodzę w spodniach i w ogóle uwielbiam Panią...”

„Tak bardzo Cię lubię, bo jesteś nasza, wyglądasz naturalnie, nie nosisz nosa do góry...”

„Kiedyś skrytykowano Panią w radio, więc napisałam okropny list do redakcji, na wymyślałam im ile się dało...”

„Pobitem się z kolegą w szkole, bo powiedział, że jesteś brzydka. To nieprawda, byłem na Twoim koncercie, widziałem Cię, jesteś najpiękniejsza na świecie, będe Cię zawsze bronil!”

„Wczoraj miałem burę w szkole. Na mojej ławce leżało Twoje zdjęcie, zobaczyła to pani od chemii i śmiała się ze mnie, że tak bardzo Cię uwielbiam, a przecież Ty masz krzywe nogi. Zapytałem więc — a pani profesor ma prostę? Wyrzuciła mnie z klasy, ale skompromitowałem ja, bo ma naprawdę krzywe”.

„Mój wujek ma 50 lat. Powiedział, że jesteś morowa babka”.

„Jesteś ulubienicą konekciel młodzieży, wybraliśmy Cię na

patronkę naszej drużyny barcerskiej”.

„Jesteś naprawdę wspaniała babka! Chyba wolno mi Ciebie uwielbiać, to takie świetne i nieszkodliwe hobby. Moje Ty warkoczki, śpiewaj dużo i często. Ciao!!!”

Spotkałam dużo listów miłych, z prośbą o spotkanie itp. O!, choćby ten:

„Ty masz Karino bardzo przyjemny uśmiech i dwa czarujące warkoczki. W każdym ubiorze i



Fot: Archiwum

z każdą fryzurą bym Cię poznał. Czy bedziesz, kochanie latem w Szczecinie? Przyjechałbym do Ciebie na motorze. Na tym końcu, Karinko, i proszę o odpowiedź. Zegnaj cię kochający Jurk”.

„Na koncercie, gdy byłem blisko Ciebie, byłaś taka piękna. Napisz, proszę — czekam — student Jozek”.

Ale chyba najwięcej listów dostawałam z prośbą o pomoc w zrobieniu kariery. Co druga dziewczyna pisała, że ma długie włosy, czesze się w dwa warkoczki, ładnie śpiewa i wszyscy wołają na nią Karin Stanek.

„Jestem taka do Ciebie podobna, że nie mogę chodzić ulicą, ludzie zaczepiają mnie i proszą o autograf”.

„Należę do zespołu w szkole, mam takie warkoczki jak Ty i chodzę w spodniach, wszyscy mówią, że jak podrosne, to będę drużką Karin Stanek”.

„Jestem ładna, mam głos jak Dalida, poradź...”

„Śpiewam ślicznie, chciałabym się zapisać do Czerwonoczarnych. Pomóż mi...”

„Co zrobić, żeby zostać piosenkarką, taka sławna jak Ty? Gdzie mam się zgłosić?”

„W tym roku zdaje maturę, o ile nie przyśle mi Pani swego zdjęcia i nie będzie ono leżało na ławce, to nie zdam...”

„Śpiewam w klubie, szkoły nie skończyłam, bo jest nudna, chce być artystką, a teraz chce mnie zabrać z siostrą do Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” — na pewno mi tam będzie dobrze”.

W każdym małym miasteczku miałam sobowtóra, przechodzili do mnie po koncercie po autografy dziewczęta ludzako do



Fot: Archiwum

mnie podobne, uczesane jak ja i ubrane jak ja. Czulałam się naprawdę dziwnie. e.d.n.

opr. A. KRYSZKIEWICZ

OD **WAKACYJNE ZAKUPY** DO

TYLKO

**W »UNIWERSALU«**

ŁÓDŹ, PL. NIEPODLEGŁOŚCI 4

ŁÓDŹ, PL. NIEPODLEGŁOŚCI 4

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 76, kody poczt. 90-950 i 90-103 telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwart 36 zł Redakcja nie zwraca zastrzeżeniu sobie również prawo skrótów Prenumerata przymota wszystkie odcinki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 1630, C-4. Nr indeksu 37006